AS



Nr. 19
9 MAJA 1937 ROKU
CENA 40 GROSZY

WIOSNA I KWIATY...

Fot. Hase — Wiedeń

WARSZAWA BIERZE UDZIAŁ W KONKURSIE »ASA«

NA »NAJPIĘKNIEJSZY STÓŁ WIELKANOCNY«



Stół wielkanocny małej rodziny z Warszawy.



Święcone p. J. K. z Warszawy.



Święcone „młodej gospodyni" z Pruszkowa.

Jak zaznaczyliśmy już w poprzednim numerze „Asa", wśród nadesłanych na nasz konkurs zdjęć dają się zauważyć pewne cechy regjonalne w zestawieniu stołu wielkanocnego, ozdobieniu go itd. Jest to o tyle ciekawe, że wykazuje, jak głęboko tkwią w nas upodobania uzależnione miejscem zamieszkania i pochodzenia. Tym razem zamieszczamy zdjęcia nadesłane zarówno z Warszawy, jak też województw, które należały do b. Kongresówki. Zobrazują one upodobania mieszkańców tych okolic i sposób zastawiania wielkanocnego stołu.

Poniżej:
Stół ze święconem p. Ireny Zabieglińskiej z Pabjanic.



Stół wielkanocny u p. Jana Gusta w Tomaszowie Mazow.



Święcone p. I. S. z Lublina.



Stół wielkanocny p. Józefy Dziwińskiej z Łodzi.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 19 **Niedziela 9 maja 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 19-GO:



3 MAJ

Czcigodna rocznica Konstytucji 3 Maja, będącej na tle upadku politycznego Polski w XVIII wieku jasnym promieniem nadziei, stała się wielkiem świętem przypominającem ważną chwilę naszej historji. W ramach święta 3 Maja odbyła się ostatnio na Placu Józefa Piłsudskiego defilada pułków garnizonu warszawskiego przed P. Prezydentem Rzplitej [redacted] co obrazuje nasze zdjęcie. *Fot. „As".*

GOD SAVE THE KING!



Powoli dobiegają końca olbrzymie przygotowania, czynione od miesięcy w związku z przyszłą koronacją króla Jerzego VI. Powoli z wszystkich części świata, z wszystkich dominjów, przybywają liczni goście, oficjalni i prywatni. Z Indyj przyjechali już maharadżowie Dharu, Cooch, Wankaneru, nawab Bhawalpuru i wielu innych. Powoli też rozpoczynają się przedwstępne uroczystości. Oto zostało otwarte przez parę królewską olbrzymie muzeum morskie w Greenwich, które, jak może żadne inne, obrazuje wytrwałą pracę Wielkiej Brytanji nad opanowaniem mórz i zawiera dla Anglika bezcenne pamiątki, sięgające od powstania floty za Elżbiety aż po Trafalgar i do wojny światowej. Wszystko w Anglji, od nowych perfum do papierosów, od mody kapeluszy damskich do nowego whisky przybrało nazwę „koronacyjnych". Krawcy i krawczynie, fryzjerzy, złotnicy i cały sztab najbardziej miarodajnych sztukmistrzów mody i wszelkiej dekoracji, pracuje dzień i noc, aby wykończyć liczne zamówienia. W wytwornym Park-Lane Hotel odbył się pokaz fryzur koronacyjnych, przyczem kierowniczka popisu mrs. Forster nie omieszkała pouczyć, jak mają być umieszczane korony na fryzurze, co nie jest rzeczą łatwą Próbny orszak koronacyjny przeszedł ulicami Londynu, dając przedsmak nastroju i widowiska, jakim olśnieni zostaną mieszkańcy metropolji największego mocarstwa świata w dniu 12 maja. Nawet sam król i królowa muszą „statystować" i robić próby! Kilka dni temu w Opactwie Westminsterskiem odbyła się taka próba, przyczem rolę królowej odegrała siostra wielkiego marszałka korony, księcia Norfolku, lady Rachela Howard, a wkrótce, oczywiście bez udziału liczniejszych świadków, sam król Jerzy VI. i królowa Elżbieta odbędą taką próbną koronację! Same klejnoty koronne, przetransportowane z Toweru do nadwornych jubilerów dworu, Messrs Garrard and CO. na Albermale Street, poddane będą odpowiednim adaptacjom i przeróbkom. Drogocennym pamiątkom narodu angielskiego towarzyszyło 30 detektywów, chociaż drogę odbyły one w asyście kilkunastu oficerów policji i 8 żołnierzy gwardji! Nie zadziwią jednak te olbrzymie przygotowania i ta gorączka, jaka opanowała Anglję i jej dominja, jeżeli się zważy, jak wielką wagę przywiązują Anglicy do wszelkich ceremonij, a przedewszystkiem do odpowiedniej reżyserji. Ten wielki, praktyczny, niezbyt skory do fantazji naród, lubi upatrywać w zewnętrznym wyrazie królewskości symbol jej wewnętrznej, moralnej wielkości i potęgi, lubi też, aby wszystko, co dotyczy króla, otoczone było odpowiednio uroczystą formą zewnętrzną. — Jednym z charakterystycznych rysów narodowej duszy angielskiej jest jednak to, że żaden naród nie jest bardziej oddalony od płaskiej i niewolniczej czołobitności, niż właśnie angielski. Zarówno najwyższa arystokracja, jak też inne sfery, bardziej oddalone od tronu, uważają stanowisko króla za przywilej najwybitniejszej rodziny w królestwie, nie łącząc go jednak bynajmniej z koncepcją, iż wykonuje ona rządy z „łaski Bożej" Zresztą historja angielska znała nietylko odwieczne, oddawna już zakorzenione dynastje, nie mające sobie równych w kraju, lecz również takie, które należały jedynie do magnaterji kraju. Takimi byli np. Tudorowie i Stuartowie, przodkowie po kądzieli obecnego domu panującego. Zwłaszcza jeżeli chodzi o Szkocję, znajdziemy tam niejeden dom, mający bliższe czy dalsze wspomnienia suwerenności, w tym czy innym wieku.

Zamiłowani w porządku prawnym Anglicy, mieli też, poza zewnętrzną stroną, inne kłopoty z koronacją, a mianowicie czysto prawno-konstytucyjnej natury. Okazało się bowiem, że od chwili, kiedy w r. 1911 król Jerzy V, ojciec obecnego króla, został ukoronowany w Westminsterze, niejedna zmiana zaszła w strukturze olbrzymiego imperjum, którą trzeba było wyrazić też w koronacji. Otóż przedewszystkiem poszczególne dominja zyskały w miarę lat, coraz to większą swobodę, Irlandja stała się częścią składową Anglji na prawach równorzędnych, a bezpośrednie panowanie metropolji nad różnemi prowincjami zmieniło się w współrządy jej z niemi. Tak więc trzeba było wyrazić ten nowy stan rzeczy symbola-



Krzesło koronacyjne królów angielskich w Opactwie Westminsterskiem.

Poniżej: Księżniczka Elżbieta, następczyni tronu angielskiego.



Poniżej: Jedno z ostatnich zdjęć króla Jerzego VI i królowej Elżbiety.





Dekoracje jednej ze stron karety koronacyjnej. — Malowidła wykonane przez znanego malarza Ciprianiego.



Na prawo: Oto jak żony angielskich parów nosić będą „coronety". Na zdjęciu modelka na pokazie fryzur z koroną księżnej.

mi i słowami. Jeżeli chodzi o pierwsze, to nowy sztandar królewski ma objąć w 21 polach nietylko herby samego Zjednoczonego Królestwa, tj. trzy złote lwy w czerwonem polu Anglji, czerwonego lwa w złotem polu Szkocji i złotą harfę Dawida w polu niebieskiem Irlandji, ale również herby Kanady, Australji, Nowej Zelandji, Południowej Afryki i Indyj. To samo będzie wyrażone słownie podczas obrzędu koronacyjnego, a tytuł króla brzmieć będzie „król Wielkiej Brytanji, Irlandji i brytyjskich Dominjów za morzami, król-cesarz Indyj", przyczem opuszczoną zostanie formułka „z Bożej łaski" oraz tytuł „Obrońcy wiary", nadany Henrykowi VIII. przez papieża. Oczywiście, że wszystkie te zmiany, szczegóły i formalności ustalone zostały po dokładnej rozwadze przez prawników, polityków i sztab heroldów i pomocników wielkiego marszałka korony, młodego księcia Norfolku. Mimo wielkiego przywiązania do tradycji, Anglicy rozumieją współczesność i chcą być wobec niej w porządku, tem więcej, że wiedzą, iż ona sama w dalszym ciągu, na przyszłość, tworzy nowe tradycje. Właśnie obrzęd koronacyjny daje nam dowód, jak bardzo pieczołowicie i drobiazgowo Wielka Brytanja dba o pamiątki ubiegłych czasów. Zobaczmyż, jakiemi drogami pewne rodziny angielskie zdobyły

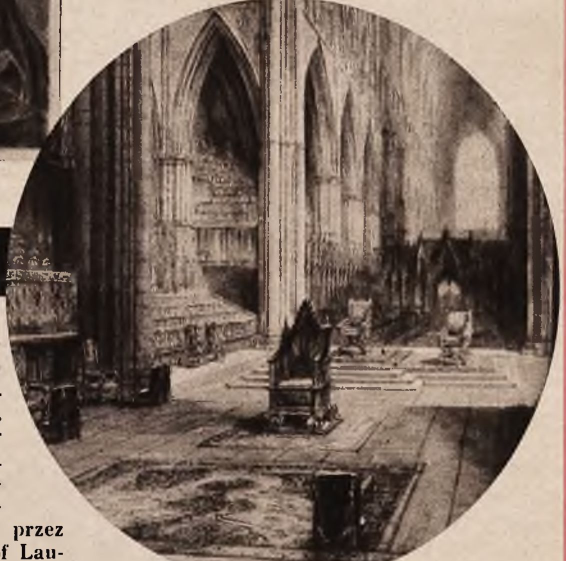


Król Jerzy VI w ornacie koronacyjnym.



Na lewo: Scena koronacyjna w „Liber Regalis".

dziedziczne prawa asystowania i spełniania honorowych funkcyj przy koronacji. Rodzin tych jest kilka: dziedz. marszałkowie korony — Howardowie, książęta Norfolku, piastują tę godność od XV. w., rodzina Marshall od XII. w. spełnia funkcję niesienia podczas koronacji złotych ostróg króla, a po wygaśnięciu jej przywilej ten przeszedł przez rodzinę Grey of Ruthyn na hrabiów of Laudoun i rodzinę Clifton. Właściciele zamku Worksop posiadali znów przywilej niesienia rękawiczki na prawą rękę króla, a gdy włość ta przechodziła w inne ręce, nowe znów rodziny zyskiwały go. — Obecnie przywilej przysługuje książętom of Newcastle. Należy podkreślić ciekawy szczegół, że rękawiczka ozdobiona jest herbem pierwszego właściciela zamku Worksop. Na bankiecie koronacyjnym lordmayor Londynu podaje królowi złoty puhar z winem, przyczem puhar zatrzymuje na pamiątkę! Jeszcze innym urzędem honorowym przy koronacji, to chorążowie szkoccy, którzy zjawiają się już w XIII w. Nie zapomniano przy obrzędzie koronacyjnym również o morskiej roli Anglji: porty angielskie Hastings, New Ramney, Dover, Sandwich i Hythe reprezentowane są przez swych delegatów, gdyż uważane one były za „wrota królestwa", przez które wejść może wróg, stąd ich znaczenie. Dużą rolę przy uroczystościach grają, rzecz prosta, również przedstawiciele urzędu heroldyjnego Zjednoczonego Królestwa, tj. heroldowie i ich pomocnicy, na których czele stoi wspomniany już książę Norfolku. Ubrani w swe wspaniałe stroje, haftowane w herby królestwa, heroldowie ci, noszący starodawne nazwy, urzędują również podczas wszystkich uroczystości królestwa. Wiele z tych starodawnych zwyczai powstało nie drogą nakazu, reskryptu czy innego aktu władzy, ale drogą zwyczaju. „Established by custom" — oto charakterystyczne dla Anglji określenia: ustanowione drogą zwyczaju. Jak dalece zwyczaj jest tam przemożny, zilustruje drobny stosunkowo incydent z czasu koronacji Edwarda VII. Gdy po koronacji król przyjmował hołd duchowieństwa, rodziny królewskiej i parów, syn jego, późniejszy Jerzy V., podniósłszy się z kolan, podszedł do króla i serdecznie uścisnął go za rękę. Ten odruch serca synowskiego, nie przewidziany zresztą w ceremonjale, powtórzył się, gdy tenże książę, już jako król Jerzy V., odbierał hołd swego syna księcia Walji, późniejszego, krótkopanującego Edwarda VIII. Dwukrotne to wydarzenie może być już poważnym precedensem w ceremonjale koronacyjnym, tak jak zresztą



Wnętrze Katedry Westminsterskiej. Na pierwszym planie krzesło koronacyjne, na drugim tron króla i królowej.

wiele innych szczegółów, powstałych tą drogą. — Wspominając dziedzicznych uczestników uroczystości koronacyjnych, nie możemy pominąć również tych, którzy będą nieśli baldachim na królem i królową. Przy królu funkcje te spełniać będą kawalerowie Orderu Podwiązki, a mianowicie: markiz Londonderry, ks. of Abercorn, hrabia Lytton i hrabia Stanhope, przy królowej księżna Norfolku, księżna of Rutland, księżna of Buccleugh and Queensberry i ks. of Roxburghe, natomiast regalja niesć będą: koronę św. Edwarda — markiz of Salisbury, miecz królewski — markiz of Zetland, berło — ks. of Richmond and Gordon, jabłko — ks. of Sutherland itd.

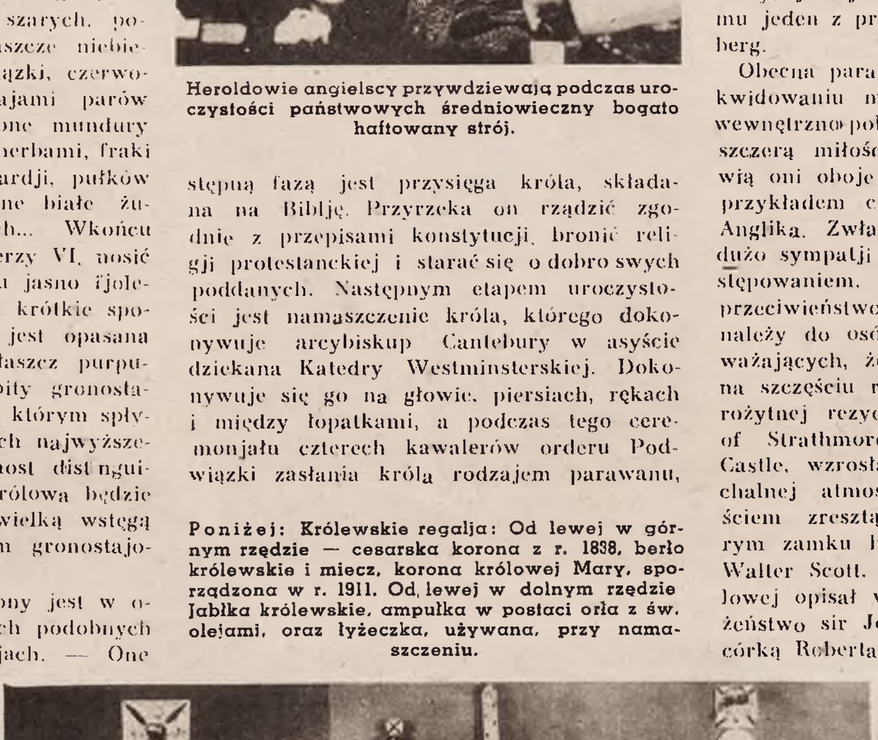
Oto olbrzymia, bo w czasie koronacji mieszcząca 7000 tys. osób Katedra Westminsterska, w której odbyły się ceremonje koronacyjne wszystkich nieomal królów angielskich, napełnia się zaproszonymi. — Wszystkie mundury i stroje świata stanowić będą barwną dekorację szarych, poważnych murów katedry. Płaszcze niebieskie kawalerów Orderu Podwiązki, czerwone płaszcze, podbite gronostajami parów angielskich i ich żon, czerwone mundury heroldów, z złotem wyszytemi herbami, fraki dworskie, liczne mundury gwardji, pułków szkockich, indyjskich, jedwabne białe żupany maharadżów indyjskich... Wkońcu ukazuje się król i królowa. Jerzy VI. nosić będzie w tym uroczystym dniu jasno fjoletowe ubranie wierzchnie, białe krótkie spodnie, przyczem lewa noga jest opasana niebieską podwiązką, oraz płaszcz purpurowo-fiołkowego koloru, podbity gronostajami z takimże kołnierzem, na którym spływać będzie wielki złoty łańcuch najwyższego orderu Podwiązki, „the most distinguished Order of the Garter". Królowa będzie w białej atłasowej sukni, z wielką wstęgą orderu Podwiązki i płaszczem gronostajowym.

Sam obrzęd koronacji zbliżony jest w ogólnych zarysach do wszystkich podobnych ceremonjałów w innych krajach. — One wszystkie biorą początek z rzymskiego ceremonjału, opisanego w „Ordo Romanus", którego manuskrypt znajduje się w cennej bibljotece watykańskiej. Najstarszy kodeks koronacyjny angielski „Liber Regalis", przechowywany starannie w Opactwie Westminsterskiem, pochodzi z XIV w., inny jednak manuskrypt, obecnie w Bibljotece Narodowej w Paryżu, sięga aż VIII. wieku i był użyty przy koronacji Eadberta, króla Northumbrji w r. 737. „Liber Regalis", obejmujący 34 strony, stał się więc podstawą tego ceremonjału, który, rzecz prosta, odbiega od niego w wielu punktach.

Zasadniczemi momentami koronacji, to przedewszystkiem „przedstawienie" króla obecnym i zapytanie ich przez arcybiskupa Canterbury, czy uznają go i czy chcą złożyć mu hołd. Odpowiedzią jest okrzyk „God save the King". Jest to pozostałością z czasów, kiedy królów wybierano drogą elekcji. Następną fazą jest przysięga króla, składana na Biblję. Przyrzeka on rządzić zgodnie z przepisami konstytucji, bronić religji protestanckiej i starać się o dobro swych poddanych. Następnym etapem uroczystości jest namaszczenie króla, którego dokonywuje arcybiskup Cantebury w asyście dziekana Katedry Westminsterskiej. Dokonywuje się go na głowie, piersiach, rękach i między łopatkami, a podczas tego ceremonjału czterech kawalerów orderu Podwiązki zasłania króla rodzajem parawanu, zrobionego z haftowanych jedwabnych materyj. Teraz dopiero następuje ukoronowanie króla koroną św. Edwarda, przyczem król trzyma w ręku berło. Armaty odzywają się, dają się słyszeć fanfary. Po dokonaniu tej ceremonji, król, który dotychczas siedział na krześle św. Edwarda, przesiada się na tron i przyjmuje hołd swych poddanych. Koronacji królowej dokonywuje arcybiskup Yorku, przyczem królowa nie przyjmuje hołdu poddanych.



Heroldowie angielscy przywdziewają podczas uroczystości państwowych średniowieczny bogato haftowany strój.



Poniżej: Królewskie regalja: Od lewej w górnym rzędzie — cesarska korona z r. 1838, berło królewskie i miecz, korona królowej Mary, sporządzona w r. 1911. Od lewej w dolnym rzędzie Jabłka królewskie, ampułka w postaci orła z św. olejami, oraz łyżeczka, używana, przy namaszczeniu.

Wszystkie nieomal momenty koronacji mają swe głębsze znaczenie symboliczne, a wiele z nich łączy się z konkretnemi epizodami historycznemi. Cechy te spotykamy też w innych rytuałach koronacyjnych. — Tak np. istniał przy koronacji cesarza rzymskiego zwyczaj, że cesarz zwracał się do obecnych z zapytaniem: „czy tu niema żadnego Dalberga?" (Ist denn hier kein Dalberg da?), co zresztą odnosiło się do pomocy, jakiej użyczył cesarzowi niemieckiemu jeden z przodków bar. von und zu Dalberg.

Obecna para królewska cieszy się, po zlikwidowaniu matrymonjalnych komplikacyj wewnętrzno-politycznych z Edwardem VIII, szczerą miłością ludu angielskiego. Stanowią oni oboje wzorowe małżeństwo, będące przykładem cnót rodzinnych dla każdego Anglika. Zwłaszcza królowa zyskała sobie dużo sympatji swojem miłem, szczerem postępowaniem. Oczywiście, że stanowi ona przeciwieństwo miss Wally Simpson, gdyż należy do osób, szanujących tradycję i uważających, że szczęście narodu opiera się na szczęściu rodzinnem. Wychowana w starożytnej rezydencji swej rodziny, hrabiów of Strathmore and Kinghorne — Glamis Castle, wzrosła ona w prostocie i patrjarchalnej atmosferze Szkocji. Częstym gościem zresztą w tym przepięknym starym zamku był wielki autor szkocki, sir Walter Scott, który przodków obecnej królowej opisał w swych dziełach. Przez małżeństwo sir Johna Lyon z Joanną Stewart, córką Roberta II, króla Szkocji i jego żony Elżbiety, królowa pochodzi po Stuartach, królach Szkocji, z których w 13 pokoleniu królowa Marja Stuart również figuruje w genealogji króla Jerzego VI. Spowodu tego pokrewieństwa ze Stuartami, rodzinny herb hrabiów of Strathmore and Kinghorn — trzy łuki — został pomnożony herbem Stuartów — czerwonym lwem w złotem polu — figurującym również w drugiem polu herbu Wielkie Brytanji. Tak więc badając genealogję pary królewskiej, odnajdziemy wspólnych im obojgu przodków, a następnie łatwo przejść możemy do bardziej nam znanych postaci historycznych i połączenia ich przez rodzinę Sobieskich z historją Polski. Podczas uroczystości koronacyjnych odżyją nietylko zewnętrzne formy pradawnej przeszłości i świetności, ale też osoby pary królewskiej są żywemi jej reprezentantami. Spełnią się słowa hymnu angielskiego „God save the King"!

Jan Maleszewski.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki pozaeuropejskie
Od góry i od lewej: Aden za ½ d., znaczek Egiptu wydany z okazji zawarcia traktatu z Anglją. — Dwa znaczki amerykańskie należące do serji tzw. „dla Armji i Floty". — W dolnym rzędzie: mapka Filipin na marce wydanej ku uczczeniu kongresu eucharystycznego. — Nowy znaczek francuskiej kolonji (Wybrzeże Kości Słoniowej). — Znaczek Libji z przedrukiem dla Trypolisu.

Porzućmy na jeden tydzień granice Europy, żyjącej w bezustannie nerwowem oczekiwaniu ustabilizowania się stosunków politycznych. Przestańmy na chwilę myśleć o tem, jakie znaczki wydają zwalczające się rządy w Hiszpanji; czy z okazji koronacji Jerzego VI ukaże się w Anglji cała serja marek, lub też tylko jedna stuka; nie martwmy się tem, że Niemcy „złupią naszą skórę", pobierając haracz w postaci dopłat do znaczków dobroczynnych, a u nas w „Polszcze" wszystko i tak pozostanie po staremu: „mówi bowiem dziadek (filatelista) do obrazu (M. P. i T.)", a mimo to dalej niszczy się znaczki ohydnemi stemplami i na serję lotniczą wypadnie nam czekać conajmniej do przyszłego... maja!

Czy dla nas, zbieraczy, istnieją przepisy dewizowe, lub przeszkadza nam w naszej namiętności jakikolwiek „mur paszportowy"? Gdzież tam: w wymianie mogę dostać za polski znaczek prawie wszystko, co „filatelistyczna dusza" zapragnie i kartkując album, przenosimy się szybciej z Valparaiso do Singapoore, aniżeli to potrafi nawet posiadacz.... dziesięciolampowej superheterodyny.

Zacznijmy naszą wędrówkę od Trypolisu, gdzie kilka tygodni temu Mussolini otwierał „Międzynarodowe Targi" (XI Fiera di Tripoli). Serja znaczków, poświęconych tej wystawie, mówi nam dobitnie o rozmachu, którym Italia pragnie podnieść gospodarczo swe zamorskie posiadłości. Anglja nie patrzy na to przychylnem okiem, a nowe cesarstwo Etjopji to „sól w oku lwa brytyjskiego".

Lecz dumny Albion „vult pacem et parat bellum" i w Egipcie zawiera niezmiernie ważny traktat, normujący definitywnie stosunki pomiędzy Imperjum a krajem piramid, z drugiej zaś strony Gibraltar morza Czerwonego — fort Aden, to także potężny punkt oparcia, o który łamią się nietylko fale oceanu. „Czarne Koszule" zapomniały może o tem — niechże wiedzą, że Anglja ma taką kolonję i na pierwszych znaczkach, wydanych dla tego skrawka ziemi, widzą na razie tylko niegroźną arabską pirogę, która jednak może kiedyś znaleźć się pod osłoną dreadnoughtów Króla Jegomości.

W Manili na Filipinach — cisza. Wiadomości nie dochodzą stamtąd szybko, a zresztą nie bardzo nas to zajmuje, jakiem jest współżycie Jankesów z tubylcami. Lecz oto XXXIII Kongres Eucharystyczny, który w stolicy tego archipelagu obradował od 2 do 7 lutego, został upamiętniony na ślicznym znaczku. Nawet młody zbieracz zrozumie, że niema skrawka ziemi, gdzieby nie docierało dziś Słowo Boże.

Polityczni władcy Filipin po drugiej stronie Pacyfiku co chwila święcą różne rocznice. Niech wszyscy wiedzą, że admiralowie Dewey, Sampson i Schley zdobyli Hawanę! Jakichby wspaniałych znaczków nie wydawano w USA, gdyby prawdziwi bohaterowie morza, jak Drake czy Nelson walczyli pod gwiaździstym sztandarem!

Powróćmy do starego świata i patrzmy się tylko z zazdrością na wspaniałe budowle, jakie Francuzi wznoszą w swych posiadłościach w Senegalu lub na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Widząc to każdy z polskich filatelistów staje się bezwiednie imperjalistą. Czy nie należą się 33 miljonom Polaków tereny emigracyjne i czy nie cieszylibyśmy się mając w swym zbiorze znaczki polskiej kolonji, lub przynajmniej obszarów przyznanych mandatem Ligi Narodów.

Witold Horain.

Egzemplarze ze zbiorów WPP. Adama Szperberga, J. Skwirzyńskiego, braci Horainów i z „International Exchange Club Polani" w Turku.



W PAŁACU DOLMA-BAGCZE

IRENA LECIEJEWSKA

N O W E L A

Nie było już sułtana — nie było już wart licznych w podwórzach pałacu — nie maszerowały po dziedzińcach oddziały pięknych i dumnych żołnierzy.

Nie przychodzili już posłowie różnych państw, ministrowie i dyplomaci składać władcy swoją czołobitność

Zza wysoko rozpiętych w wzór koronki urzeźbionych krat, nie patrzyły wdół palące i ciekawe oczy haremowych żon sułtańskich...

Pusta była sala tronowa... Po komnatach snuł się chłód i mrok, mimo miękko rozesłanych, barwami świeżych kwiatów różowiących się dywanów... mimo brylantowych skrzeń kryształowych lamp...

Po dywanach nikt nie chodził — oprócz turystów. Lampy nie paliły się. Harem był pusty i pawie z perłowej masy, roztaczające tęczę swoich piór, tkanych drogiemi kamieniami, dziwiły się na strojnych parawanach pustce zimowego ogrodu i milczeniu fontann...

Ale żył — jeden człowiek.

Zostawiono go przy pałacu, by porządku pilnował i turystów oprowadzał. Stary był, słaby, nie niebezpieczny, więc go z całej dawnej służby pałacowej zostawiono; a że pałac znał dobrze, więc się do roli guide'a nadawał doskonale, pięknie przytem wyglądał ze swoją srebrną brodą, z płonącemi w starej twarzy oczami i w narodowym stroju.

Tak, Jussuf żył. Żył właśnie dzięki temu, że był w pałacu. Tu, chociaż serce bolało go z tęsknoty za dawnem cesarstwem — czuł się potrzebny. Codziennie więc chodził po całym pałacu, ścierając pył, „porządkując" nieruszane przez nikogo meble, otwierając i zamykając drzwi i okna — a zawsze tak, jakby te sale pełne były gości dawnych i dawnego gwaru — jakby na nim spoczywały oczy ukochanego całą duszą — Sułtana.

Bo Jussuf wierzył, że sułtan wróci. — Szybciej czy później wróci do tego pięknego pałacu, który jest zresztą jego dziełem; wróci napewno, bo to, co jest, jest głupie, nielogiczne, niestosowne. I wierzył Jussuf w to święcie i dlatego dbał o pałac i ogrody — dla Niego.

Jakiegoś wiosennego dnia zwiedziła pałac Dolma-Bagcze wycieczka francuskich studentów. Stary Jussuf, jak zwykle, oprowadzał ich po salach, pokazywał meble, dywany, lampy, zwierciadła i wszystkie wspaniałości. Podczas tej wędrówki zwróciła jego uwagę młoda studentka, które ze szczególną uwagą i zachwytem patrzyła na wszystko. I oto w pewnym momencie usłyszał Jussuf, jak mówiła do towarzyszącego jej studenta tureckiego: „Wolałabym, gdyby tu był sułtan Powinien tu być. Byłoby jeszcze piękniej..."

— Pani jest monarchistką?

— Tak, jestem nią! — roześmiała się — Chciałabym zobaczyć ten pałac w całej wspaniałości, z sułtanem w sali tronowej. Byłoby to poprostu — romantyczne!

I poszli dalej. Ale Jussuf słyszał. Słyszał najwyraźniej, jak oto studentka francuska z całą odwagą wyrażała życzenie powrotu sułtana. To musi mieć swoją wagę i znaczenie — rozumował — może tego nie pojął ten republikański młodzik... ale dla niego, dla Jussufa, te słowa zawierały tajną wieść, trwożną, tajną, wspaniałą wieść.

To zdanie, które tu padło, — rozumował dalej — jest pewnie zdaniem całej Francji, a może całej zagranicznej opinji? Jakżeby inaczej mogła ta studentka tak śmiało mówić o tem i to do wielbiciela Kemala Paszy? Tych parę zdań wstrząsnęło nim. Tak... Ale czy On, najjaśniejszy Pan — On, Sułtan — wie o tem? Chyba wie, a wówczas zechce tu wrócić?

Rozglądnął się po pałacu. Sale stały puste, piękne, ciche, czekające. Za oknami szumiało i iskrzyło się słonecznemi iskrami morze — żywe i ciepłe w kontraście do pustego pałacu.

Pustego? Tak... teraz — chwilowo: On wróci. On musi wrócić. Ale jak? Czy nie należałoby Go tu wprowadzić po cichu — w tajemnicy — niechby Go naród zastał dnia pewnego w sali tronowej, z wierną świtą u boku, a cały wówczas padnie na kolana przed Nim. On wówczas przebaczy ludowi i wróci dawna świetność i potęga.

Tak oto rozpalało się myślami serce Jussufa — a za oknami pustego pałacu iskrzyło się morze słonecznemi skrami...

Mijały dni — przekwitły wiosenne kwiaty w wewnętrznych ogrodach Dolma-Bagcze. Pałac stał wciąż cichy — pusty. Stary Jussuf wychodził wieczorami nad Bosfor i patrzał na zachody słońca, rozpalające się pawiemi piórami na wodzie...

A serce jego gorzało...

Sułtan wróci do swego pałacu, a on, Jussuf, obmyśleć musi najlepszy i najskuteczniejszy sposób powrotu. Nocami całemi przecież myśli o tem — pisze i rysuje plan tajemnej drogi, którą przyjdzie On. Bo w myśl marzeń Jussufa, naród zastanie Go odrazu na tronie — na swojem dawnem miejscu — jako władcę...

I powoli, powoli, przemieniało się coś w duszy Jussufa. Jakby z temi pawiemi zachodami słońca, zapadającemi za widnokrąg, zapadała się w nim jakaś cząstka rzeczywistości — a duszę powoli, stopniowo zapełniało to marzenie, gorące, niewstrzymane, uparte. Wiara przybliżała góry — w jego sercu. Zdawało się wszystko łatwem i wykonalnem — coraz bardziej...

I przyszła raz noc. Księżycowy blask wypełnił puste sale, rozświetlił się w gładkich lustrach, skrzył w kryształowych lampach, tajemniczo jaśniał w jasnych marmurach.

Jussuf wstał. Upewnił się najprzód, że główna brama jest zamknięta, a potem zapalił światła w sali tronowej. Rozgorzała złocistym blaskiem który roztęczył dywany, wydobył z mroku rzeźby i złocenia, cały przepych sali. Jussuf stał chwilę i patrzał. Czarne oczy błyszczały mu ogniem, na starej twarzy rozpaliły się rumieńce, serce biło, jak serce dzwonu, rozkołysanego na trwogę.

Oto wypróbuje dziś swój plan: przejście od furtki maleńkiej, jemu tylko znanej, tuż, nad Bosforem — aż do tego tronu. Przejdzie te wszystkie sale i korytarze, tak jakby już On był z nim.. jakby to On już wracał...

I poszedł. Najprzód tam, na końcu wąskiego ,tajnego korytarza drzwiczki z metalu, roztwierające się przy pociśnięciu jednego z ćwieków. Przy uchyleniu drzwiczek wionął wilgotny dech nocy — woda zabulgotała u stóp. Przechylił się, jakby komuś w niskim ukłonie rękę podając, a gdy ten ktoś niewidzialny wszedł, przymknął drzwiczki i poszedł, wskazując drogę.

Rozumiał jeszcze w swem marzeniu, że to tylko próba owej drogi, którą kiedyś z Nim odbędzie — że to wyobrażenie tylko tego wytęsknionego „kiedyś" — rozumiał to, ale serce jego czekające mąciło mu myśl, przybliżało marzenie do rzeczywistości i myliło świadomość...

Wszak odbywa tę drogę od tajnej furtki do sali tronowej — całkiem tak samo, jakby On był z nim..,

Przecież idzie cicho — pomału — uważnie przez kolorowe, półmroczne korytarze — ciche ogródki z pachnącemi krzewawami i palmami, jak wielkie bukiety — i sale wielkie, poważne — całkiem tak samo, jakby On był z nim...

Oto jeszcze te wspaniałe, wysłane dywanem, marmurowe schody — jeszcze te drzwi ogromne — i oto sala tronowa..

Rozsunęły się rzeźbione oddrzwia, rozesłał się przed nim barwny dywan, wiodący od drzwi aż do tronu.

Wtem — co to?

Od strony bramy wejściowej słychać głosy, stukania. Czyżby dostrzeżono światła w sali tronowej, czyżby ktoś odkrył jego plany — ktoś z pomiędzy tych nędznych republikanów? Krew gorącą falą zalała mózg. Zadygotał, oczy zabłysły nieprzytomnie.

Tak — to chyba to jedno...

To nie próba — to powrót Jego, a tam, za bramą zdrada i nienawiść. Nie, na Allaha, byle doprowadzić Najjaśniejszego Pana do tronu, niech usiądzie na nim w swym majestacie, wówczas ulękną się go — cofną — zrozumieją...

Pochylił się i począł iść coraz szybciej po barwnej wstędze chodnika — do tronu. — Jeszcze kroków parę... serce jego, zmęczone, stare, zbłąkane serce zabiło gwałtownie — szarpnęło się w piersi — i nagle stary Jussuf padł na stopnie tronu...

A kiedy wreszcie wyważono zamek i policja, zaalarmowana światłem w pałacu, wpadła do wnętrza — znaleziono — starego sługę sułtańskiego, leżącego bez życia na marmurowych schodkach, prowadzących do tronu. W pustej, ogromnej, rozświetlonej sali płonęły cicho świeczniki kryształowe, lśniły lustra, barwiły się kobierce...

Zawrzało na drugi dzień w ministerstwie, policji na wieść o wykrytym zamachu stanu, o spisku mającym za cel sprowadzenie sułtana i wskrzeszenie cesarstwa. Ukryto zresztą skrzętnie tę wieść przed narodem i prasą. Mimo jednak usilnych poszukiwań policji mimo znalezionych notatek i szkiców i licznych aresztowań, nie udało się wyśledzić całej organizacji i innych członków zamachu.

I nie wiedział nikt — ani policja — ani nawet sułtan, w Genewie, dumający na tarasie wykwintnego hotelu o swojej ojczyźnie — że organizacją, planem, duszą i wykonawcą spisku był tylko stary, samotny, wierny Jussuf...

KONIEC.

PTASIE KRÓLESTWO

Nie tylko w człowieku tkwi instynkt towarzyski i skłonność do życia gromadnego. Tworzenie zbiorowisk podobnych do organizacyj ludzkich zauważyć można również i w świecie zwierząt, a zwłaszcza u niektórych owadów, np. pszczół i mrówek.

Od dawna zwrócono również uwagę na niektóre ptaki skupiające się w większe gromady i tworzące całe kolonje, liczące nieraz tysiące i dziesiątki tysięcy sztuk. Znane jest masowe występowanie ptaków na wyspach i wybrzeżach oceanicznych. Głębokie bowiem wody oceanu zawierają w sobie niewyczerpane zasoby pokarmu w postaci ryb oraz innych stworzeń, stanowiących dla osiedlających się ptaków smakowite kąski. Wśród wielkiej masy ptactwa, wysiadującego na wybrzeżu jaja, przychodzi często do starć o miejsce. Jedne porywają drugim ,materjał budulcowy" do gniazd, a nawet rzucają się na jaja i pisklęta. Mimo to jednak łączą je pewne węzły socjalne W razie grożącego niebezpieczeństwa wzajemnie ostrzegają się krzykiem, a nieraz i gromadnie próbują odstraszyć i odpędzić napastnika.

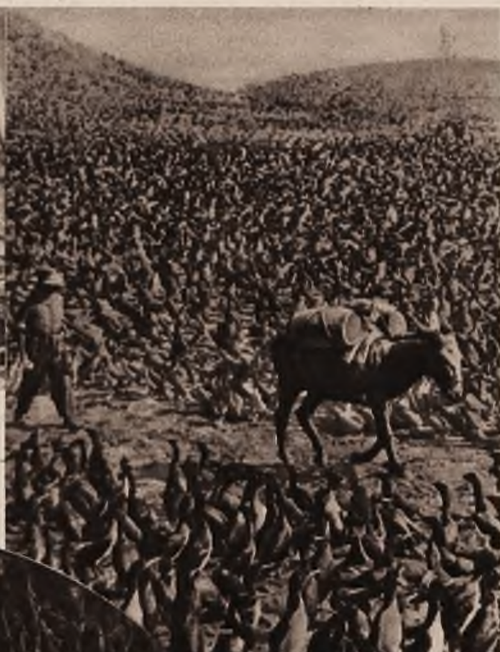
W wielkich gromadach na skalistych wybrzeżach Islandji, wysp Owczych, na Hebrydach, a także w Ameryce nad Atlantykiem żyją białe gapy, czyli głuptaski (Sula alba), tak nazywane dla ich trwożliwego usposobienia i jak gdyby ogłupienia, w jakie wpadają w razie grożącego im niebezpieczeństwa.



Nadmorska kolonja nurków-nurzyków.



Pelikan karmiący młode.



Na lewo: Na wybrzeżach Peru żyją olbrzymie ilości kormoranów.



W kole: Flamingi (czerwonaki).

Takie wielkie kolonje tworzą w okresie lęgowym. Na małej wysepce koło Forth of Forth u wybrzeży szkockich ilość gnieżdżących się głuptaków obliczają na 15.000. Na urwistych skałach budują gniazdo obok gniazda tak, że już zdaleka są widoczne te białe „góry ptasie". Jako doskonali lotnicy przeważnie polują w przestworzach i z góry upatrują zdobycz w falach morskich. Jeżeli tylko ją dostrzegają, rzucają się na nią z góry z tak wielkim rozmachem, że nieraz nawet giną tragiczną, samobójczą śmiercią.

Podobnie gromadnie, a niekiedy całemi kolonjami, obejmującemi setki i tysiące par żyją kormorany, zwane także krukami morskiemi. Jeżeli mieszkają na drzewach, to budują na nich po kilkadziesiąt gniazd, gdy zaś osiedlają się na skałach, gniazd tych jest nieporównanie więcej. Ginazda są umieszczone jedno obok drugiego, budują je kormorany bardzo niestarannie. Trochę gałęzi rzuconych bezładnie na ziemię, wyłożonych wewnątrz trawą i trzciną, stanowi miejsce dla wysiadywania jaj

W olbrzymich stadach zbierają się pelikany, żyjące w Afryce i Azji tak nad morzem, jak i wodami słodkiemi. W południowej Europie zakładają pelikany kolonje gniazdowe na rybnych jeziorach. Od czasów starożytnych uchodziły pelikany za symbol miłości macierzyńskiej jako, że krwią swej piersi miały karmić młode. W rzeczywistości przypuszczenie to poszło stąd, że pelikany nieraz przy chwytaniu i pożeraniu ryb ich krwią plamiły swe śnieżne pióra na piersi

Ponieważ kości tych ptaków są pneumatyczne, wskutek lekkości ciała, nie mogą one nurkować. Przy połowie ryb radzą sobie w ten sposób, że chwytają je wspólnemi siłami. Zbierają się w gromady, bądź to tworząc półkole, bądź też dwa szeregi, które zacieśniają się coraz bardziej. Przez uderzanie skrzydłami o wodę zapędzają ryby na płytkie miejsca i zatoki i tam chwytają je już z łatwością.

Towarzyskość cechuje również pingwiny, zamieszkujące antarktyczne wyspy, nieraz w wielotysięcznych ilościach. Miłe te i łagodne ptaki przypominają swą sylwetką ludzi. Gniazda ich — to najczęściej dołki, wygrzebane w ziemi, a podściółkę stanowią kamyki. Niekiedy wykopują podziemne nory, które komunikują się między sobą chodnikami.



„Gniazdowa" kolonja albatrosów.



Jednem z nielicznych zwierząt, zamieszkujących Antarktydę jest pingwin.

Niektóre z gatunków pingwinów noszą jaja ze sobą w „kieszeni", utworzone z fałdu w skórze. Pingwiny są bardzo troskliwe i pełne poświęcenia dla swych młodych. Niejednokrotnie po zlodowaciałych stromych ścianach skalnych wędrują nawet kilkaset metrów, by dostarczyć pożywienia czekającym na nie małym.

Nad morzami południowemi gnieżdżą się gromadnie albatrosy, prawdziwi władcy powietrznych przestworzy. Olbrzymie te ptaki zdają się unosić w powietrzu bez ruchu swych olbrzymich skrzydeł, przekraczających swą rozpiętością 3 metry. Unosząc się w powietrzu wypatrują albatrosy zdobycz, a spostrzegłszy ją opuszczają się na rozpostartych skrzydłach na wodę; następnie niby hydroplany ślizgają się po powierzchni morza.

Lot albatrosów jest tak szybki, że w kilku chwilach znikają z oczu. Spotkanie albatrosów daleko od wybrzeży czy wysp na otwartym oceanie świadczy o niezmiernej wytrzymałości tego ptaka.

Olbrzymie ilości jednego z gatunków albatrosów żyją na wyspie Laysan na Oceanie Spokojnym, położonej na północny zachód od wysp hawajskich. Przy zbliżaniu się człowieka odważny ten ptak syczy i atakuje dzióbem.

Na morzach północnych w olbrzymich ilościach obsiadują skały nurzyki, które odznaczają się doskonałą zdolnością nurkowania. W licznych stadach na skalistych brzegach gromadzą się wrzaskliwe i kłótliwe mewy, nie gardzące żadnym pokarmem. Stanowią one też rodzaj sanitarnej policji, która oczyszcza morze z wszelkich odpadków i martwych organizmów.

Szczególnie z Afryki znane są wielotysięczne stada pięknych flamingów, czyli czerwonaków. Na długich swych nogach chodzą dosyć niezgrabnie, kołysząc się lekko. Zato lot ich jest lekkim. Gniazda swe budują w płytkiej wodzie lub na ziemi w postaci kopców z mułu, który zbierają i znoszą przy pomocy nóg. Dla smacznego mięsa są prześladowane w niektórych okolicach przez człowieka, który chwyta je często w znacznych ilościach w sieci

I u nas w Polsce nie brak ptaków, które tworzą jakgdyby kolonje, jakkolwiek bez porównania mnie liczne. Przykładem może być jaskółka brzegówka, która wygrzebuje sobie gniazda w ziemi nad brzegami wód lub w urwiskach. Nieraz kolonja tych jaskółek przekracza 100 par. Gromadnym sposobem życia przypominają swe krewniaczki egzotyczne — salangany, których gniazda uważane są w Chinach za przysmak i dziesiątkami tysięcy wywożone rokrocznie z Indyj Holenderskich. Podobnie w licznych stadach żyją w wielu okolicach Polski kaczki i inne gatunki ptactwa wodnego.

Życie gromadne ptaków jest związane przedewszystkiem z wysiadywaniem jaj i wychowywaniem potomstwa. Niekiedy przyczyną zbierania się w wielkie gromady są wędrówki do obcych, daleko położonych krajów. W jesieni jaskółki, szpaki i bociany zbierają się w większe stada, poczem dopiero wybierają się na daleką wędrówkę, przekazaną tradycją pokoleń i nakazem instynktu.

Dr Z. M.



Na lewo: Maskonury, krewniaki wytępionej już Alki Olbrzymiej.

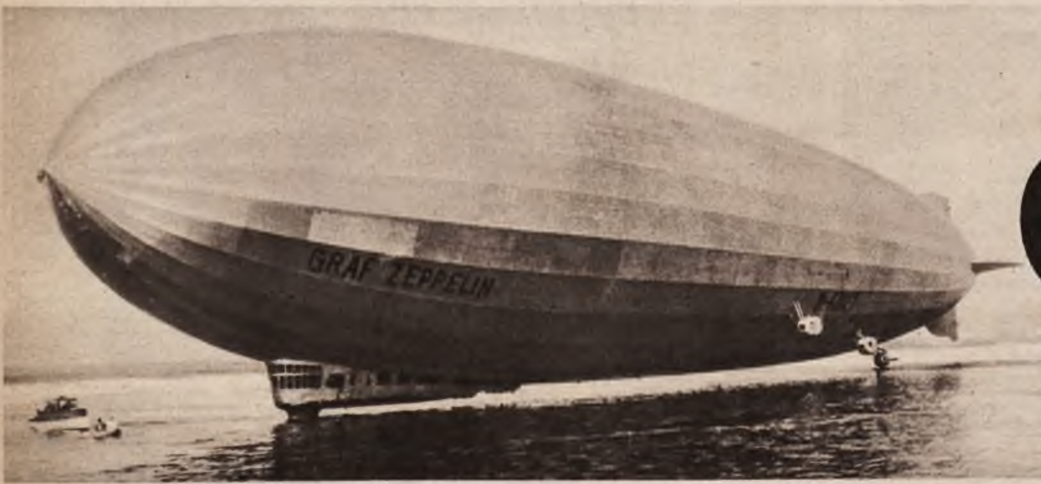


Na prawo: Nowa Zelandja posiada liczne „kolonje" gapiów - głuptaków.



Poniżej: Nurzyki na gniazdach.

CAMPING W Obłokach



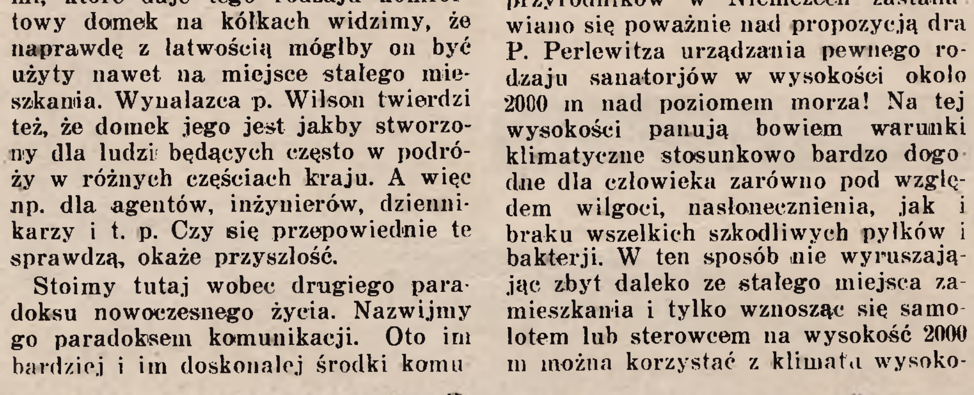
Olbrzymi balon typu „Zeppelin" stanie się może wkrótce miejscem wypoczynkowem dla ludzi, szukających „górskiego" powietrza.

Życie dzisiejsze jest pełne paradoksów. W miarę rozwoju cywilizacji powiększają się skupiska ludzi. Miast jest coraz więcej i stają się one coraz ludniejsze. Jakże chętnie dzisiejsi ludzie uciekają z wielkich miast w ustronia wiejskie! Nigdy nie było takiego pędu weekendowego jak teraz. I co jest zastanawiające, to to, że ów pęd ku swobodzie jest tem większy im bardziej koszarowe, i bardziej zmechanizowane staje się życie codzienne. — Wytworzył się więc nowoczesny camping przy użyciu najrozmaitszych środków transportowych, a przedewszystkiem samochodów. Do takiego samochodu zabierano zazwyczaj namioty, jakąś maszynkę spirytusową, trochę żywności i poprostu tak na łonie przyrody używano wywczasów. Dzisiaj pod tym względem poczyniono już pewien krok naprzód. Okazało się bowiem, że jednak dzisiejsi ludzie przyzwyczajeni do wygód niechętnie pozbywają się ich nawet poza stałem miejscem swego zamieszkania. Zbudował sobie więc jeden i drugi Amerykanin specjalne doczepki do samochodu, coś w rodzaju domku na kółkach. Na takiej wycieczce człowiek zrzuca z siebie swoją codzienną maskę i ubiór i może oddychać pełną piersią, niekrępowany przez konwencjonalne nakazy towarzyskie. Jest wprost nieprawdopodobne, co Amerykanie w takim domku na kółkach umieją zmieścić. Dzisiaj taki domek-kokon posiada już dwie kondygnacje. Obejmuje 5 pokoików, Łazienkę, kuchenkę, pralnię i osobną werandę. Nic dziwnego, że Amerykanie nazwali taki domek maszyną-mieszkalną. Format takiego domku na kółkach jest naprawdę podobny do kokona, a raczej ma budowę jajowatą. Format ten daje możliwość pomieszczenia jak najwięcej przedmiotów przy użyciu jak najmniejszej ilości materjału budowlanego i przy stosunkowo jak największej wytrzymałości. Wynalazca tego domku-kokona imieniem Corvin Wilson udowadnia, że mieszkanie w takim domku bynajmniej nie przypomina wozu sypialnego, a jadalnia bynajmniej wozu restauracyjnego. Domek ten nadaje się właściwie nietylko już na pobyt weekendowy, ale nawet na zamieszkanie w nim przez dłuższy czas. Posiada on instalacje wszelkiego rodzaju jak najbardziej komfortowy dom nowoczesny. Jest połączenie dla prądu elektrycznego, wodociągu, gazu, kanalizacji i telefonu. W domku takim zamieszkać mogą 4 osoby dorosłe i 2 dzieci. Posiada on oczywiście kompletne umeblowanie jak łóżka, stoły, krzesła, kuchenkę, zbiornik na wodę gorącą, maszynę do prania, wyżymaczkę, toaletę, a nawet strych ze zbiornikiem na wodę. Cały dom waży nie więcej jak 1600 kg.

Zastanawiając się nad możliwościami, które daje tego rodzaju komfortowy domek na kółkach widzimy, że naprawdę z łatwością mógłby on być użyty nawet na miejsce stałego mieszkania. Wynalazca p. Wilson twierdzi też, że domek jego jest jakby stworzony dla ludzi będących często w podróży w różnych częściach kraju. A więc np. dla agentów, inżynierów, dziennikarzy i t. p. Czy się przepowiednie te sprawdzą, okaże przyszłość.

Stoimy tutaj wobec drugiego paradoksu nowoczesnego życia. Nazwijmy go paradoksem komunikacji. Oto im bardziej i im doskonalej środki komunikacyjne się rozwijają, tembardziej zaczynają one spełniać zadania wręcz nieoczekiwane, bo poniekąd sprzeczne z samem założeniem, z samą ideą komunikacji. Środki komunikacyjne stają się miejscami mniej lub więcej stałego zamieszkania coraz większej ilości ludzi na świecie. A fakt, że tak wiele ludzi rokrocznie, nawet u nas spędza znaczną część swojego czasu urlopowego na statkach lub wagonach zamienionych na mieszkanie, należy przecież do tej samej kategorji nowego zastosowania środków komunikacyjnych. Kto wie, czy w miarę coraz większego przeludnienia miast, z czasem znaczna ilość ludzi nie będzie wogóle przez cały rok zamieszkiwała w różnego rodzaju domkach na kółkach przenosząc się z miejsca na miejsce, zależnie od chęci lub potrzeby. Nowoczesne koczownictwo jest także pewnego rodzaju paradoksem cywilizacyjnym.

Ten paradoks komunikacyjny sięga jeszcze dalej. Przecież niedawno na poważnym zjeździe naukowym lekarzy i przyrodników w Niemczech zastanawiano się poważnie nad propozycją dra P. Perlewitza urządzania pewnego rodzaju sanatorjów w wysokości około 2000 m nad poziomem morza! Na tej wysokości panują bowiem warunki klimatyczne stosunkowo bardzo dogodne dla człowieka zarówno pod względem wilgoci, nasłonecznienia, jak i braku wszelkich szkodliwych pyłków i bakterji. W ten sposób nie wyruszając zbyt daleko ze stałego miejsca zamieszkania i tylko wznosząc się samolotem lub sterowcem na wysokość 2000 m można korzystać z klimatu wysoko-



Oto przekrój domku campingowego. 1) Wejście, 3), 41), 42) łóżka, 5) stolik składany, 12) stolik składany dla siedmiu osób, 24) do 26) piecyk kuchenny, 38) bieliźniarka, 46) umywalnia, 53) rezerwoar na wodę itd.

W DRODZE DO MIASTA

Charakterystyczny zaprzęg, używany przez chłopów egipskich.



miętniały jakiś smutny cień losu. Wyznawca Mahometa odczytuje z łatwością te runy. Sztukę tkactwa dywanów uprawiały niemal wszystkie ludy Wschodu, a zajmowały się tem szczepy osiadłe, jak i wędrowne. Znaczne nierówności brzegów dywanu, fałdy, przesunięcie linij w ornamencie — mówią o pracy nomadów. Dywan wielokrotnie napinany i zdejmowany, tygodniami trwające przerwy w robocie, co jest nieuniknionem u szczepów wędrownych — nie może wypaść tak równo, jak tkanina, nad którą dzień w dzień pracują te same ręce. Także barwiki za każdym razem sporządzane, więc wełna potrochu farbiona — nie mogły mieć ściśle tego samego tonu. Szczupłe wymiary namiotów nomadów decydowały również o rozmiarach dywanu, dlatego wielkie dywany należy uważać za produkt ludów osiadłych. To co w modnym, fabrycznym dywanie raziłoby, jako błąd, wada — w tym produkcie naiwnej twórczości jest raczej wdziękiem — posiada swój swoisty czar, jak go posiadają spotykane w starem mieście nierówności murów, dachów, wykuszy... Można śmiało powiedzieć, że do starych, najcenniejszych dywanów wschodnich zalicza się tylko te, które powstały przed rokiem 1870, te bowiem posiadają najcudawniejsze, sharmonizowane barwy. Czar wschodnich dywanów polega głównie na subtelnie i z pietyzmem wykonanej robocie i prześlicznie stonowanych, ale nie wyblichowanych przez słońce i wilgoć kolorów. Materjał na dywany, więc wełnę owczą, wielbłądzią i kozią, oraz — rzadziej, jedwab — farbowano szlachetnemi barwikami roślinnemi, których przyrządzanie — recepty — stanowiły tajemnicę każdego szczepu i rodziny. Mniej więcej około 1870 roku w Europie wprowadzono świeżo wynalezione farby anilinowe i one to, jako tańsze i łatwiejsze w przyrządzaniu, wtargnęły na Wschód. Zastąpienie dawnych roślinnych, szlachetnych barwików — chemicznemi: zwiększający się popyt w Europie na wschodnie dywany — przyczyniło się do masowej, więc gorszej wytwórczości dywanów i wogóle zczasem, niemal do zniszczenia tej prastarej, artystycznej kultury na Wschodzie. — Bardzo szybko potem zjawiły się wszelakie droższe i tańsze naśladownictwa fabryczne.

Jeśli się zważy, że robota takiego dywanu wschodniego wymagała nieraz całych lat pracy, że towarzyszył on swemu twórcy we wszystkich okolicznościach życia, że w jego tkaniny, a smucił — ciemnemi, powierzając jej swoje modlitwy — to zrozumiemy, jeśli wrażliwi artyści utrzymują, iż dywany te żyją, że i w godzinach ciszy przemawiają do nich cudnemi baśniami Wschodu, że pobudzają, jak wino ich twórczą fantację...

Opierając się na danych historycznych, przemysł dywanowy istniał już dawno, bardzo dawno. Kochano się w tych tkaninach już w Asyrji, Babilonie, w starych Indjach, a fenicki, kupiecki naród rozprzestrzenił później te wyroby po całej Azji, Afryce i Europie.

Dla dzisiejszego jednak człowieka wzrok wschodniego dywanu mocno osłabł. Wschodnia tkanina pokrywająca sofę i przy nim stojący inkrustowany srebrem stoliczek z Kaukazu, z nargilami — wydaje się już wielce przestarzałą modą. Nowoczesne, jakże jałowe urządzenie, mówiące tylko o celowości, praktyczności i higjenie, należy do idału współczesnego człowieka. Ceni się czyste, nagie ściany, błyszczące podłogi, celowo — użytkowe meble ze stalowych rur, tapeczany, kryte fabryczną narzutą, a nie, co miałoby na sobie piętno indywidualnej, „mało doskonałej" twórczości rzemieślnika-artysty, nic, co mogłoby chłonąć przypadkiem kurz, a co mogłoby zatrzymać myśl... A wartość prawdziwie starego dywanu wschodniego? Jest, jaką była, bardzo wysoka. Jeszcze dziś za mistrzowskie, bez zarzutu dzieło staroorjentalnej sztuki tkackiej — szczególnie pochodzenia perskiego, z najlepszych czasów rozkwitu — płaci się za metr kwadratowy, nawet wycinek — do 10.000 franków i znacznie więcej. Taki dywan kupuje jakiś znawca, miłośnik — dla siebie tylko, ale częściej nabywa się go jako wartościowy objekt, zabezpieczający przed ewentualnym spadkiem waluty....

Zofja Królowa.



Wspaniały dywan perski, odznaczający się oryginalną kompozycją, z londyńskiej wystawy w Burlington House.



Powyżej: Jedwabna tkanina perska z XVII w.



Na lewo: Jedwabny dywan perski o tematach ludzkich i zwierzęcych z połowy XVI wieku.



Ogrodowy dywan perski z XVII wieku.

górskiego Pobyt w takiem sanatorjum w przestworzach przez kilka godzin dziennie ma podobno działać doskonale na choroby organów oddechowych jak np. astmę, koklusz i inne choroby t. zw. „allergiczne". Stwierdzono przecież już, że rozmaite schorzenia t. zw. „subastmatyczne" i bronchity znacznie się polepszały po kilkugodzinnem pobycie w powietrzu. Mamy więc już perspektywę sanatorjów powietrznych. Jako sanatorjum takie mógłby służyć komfortowo urządzony sterowiec, z miejscem do leżakowania, któryby wznosił się w powietrze na kika godzin, oczywiście zależnie od warunków atmosferycznych. Co za znakomite i wygodne urządzenie dla ludzi, którzy nie mogą się z różnych powodów oderwać od swych zajęć i od stałego miejsca zamieszkania, a jednak codziennie lub w przepisanych okresach czasu powinni przebywać przez kilka godzin w idealnie czystem powietrzu.

Jeżeli już pedantyczni i systematyczni Niemcy na poważnem posiedzeniu naukowców (bo „Zjazdy niemieckich Lekarzy i Przyrodników" zawsze uchodziły za miejsce spotkania najpoważniejszych sił naukowych), zastanawiają się nad możliwością i celowością urządzenia takiego rodzaju sanatorjów przy pomocy Zeppelinów, to wolno nam już snuć dalej idące marzenia. Brakuje przecież tylko wynalazku teoretycznie zupełnie niewykluczongo, umożliwiającego zatrzymanie się samolotu lub sterowca w powietrzu w pewnem określonem miejscu, aby już móc trznego. Pomyślmy tylko, że uda się



Nowoczesne domki campingowe przypominają olbrzymią zabawkę dziecięcą.

myśleć o urządzeniu campingu powie-przy pomocy choćby np. specjalnego systemu śmigieł wirujących utrzymać samolot lub sterowiec w powietrzu w spokoju, wzgl. przynajmniej w tak powolnym ruchu, aby go prawie nie odczuwano. Czy nie wolno nam więc marzyć o tem, że w niedalekiej przyszłości w czas pogodny, gdy PIM zagwarantuje spokój w atmosferze, wzniosą się w przestworza całe eskadry domków campingowych, latających w powietrzu! Kto wie! Jeżeli nie mamy odwagi jeszcze mówić o lotach rakietowych na księżyc lub którąś z planet, choćby wobec braku wszelkich pewnych danych o warunkach panujących na tych ciałach niebieskich, to możliwem jest, że nie zrywając więzów z matką ziemią stale część ludności przebywać będzie dobrowolnie na

rzadziej zaludnionych „terenach" ponad ziemią...

Zdajmy sobie sprawę z tego, że poniosła nas trochę fantazja. Ale nie porzucając zupełnie terenu realnej rzeczywistości musimy przyznać, że nowoczesne środki komunikacyjne, a szczególnie lotnictwo odgrywa już i odegra z pewnością w przyszłości rolę ogromną. Czyż jest więc coś dziwnego w tem, że w Stanach Zjednoczonych cały korpus oficerski otrzymuje nietylko ściśle wojskowe wykształcenie, ale musi posiadać wprawę w kierowaniu nowoczesnymi środkami komunikacyjnemi i to nietylko samochodami, ale także samolotami. Amerykanie powiadają, że w dzisiejszej cywilizacji jest niemożliwe, aby nowoczesny rycerz nie opanował dzisiejszych środków komunikacyjnych tak jak było nie do pomyślenia, aby w dawniejszych wiekach rycerz nie umiał jeździć konno. A praktyczni Amerykanie mają „dobry nos". Oni trafnie oceniają sytuację i umieją przemyśleć ją do ostatnich konsekwencyj.

Pozostawiając więc na uboczu właściwe zadania środków komunikacyjnych i korzyści, które płyną z ich normalnego zastosowania zyskaliśmy nowy aspekt na ich znaczenie pozornie sprzeczne z ich celem. A że takie n. p. lotnictwo pełni już dziś poza zastosowaniem dla celów komunikacyjnych ważną rolę w wielu innych dziedzinach, to może jeszcze nie wszystkim wiadomo. Ale o tym „pożytku z lotnictwa" to już chyba pomówimy innym razem. *Inż. J. A.*

MISTERJUM DYWANÓW



Kobieta turkmeńska przy tkaniu dywanu.

Prawdziwy perski dywan! Znawca, sybaryta lubi wschodnie dywany — tak pięknie przecież stroją jego salon, czy gabinet. Z lubością gładzi miękką wełnę dywanu, przyglądając się jego żywym a harmonijnie stonowanym barwom. Rzadko jednak myśli o odległych krajach, z których pochodzą te piękne okazy, a jeszcze mniej wie o żmudnej pracy, związanej z powstaniem każdego z nich, o misterjach tej sztuki starodawnego Wschodu, które mogą przemawiać tylko do duszy wrażliwego artysty. Armeńskie, indoperskie, smyrneńskie dywany, te z Damaszku, Turkiestanu, Buchary — są to już mniej lub więcej tylko nazwy które miłe dźwięczą, ale same nic szczególnego nie opowiadają.

Wszystkie ludy Wschodu chętnie uzmysławiają sobie nietylko pojęcia religijne, lecz także wszelkie widzialne i niewidzialne zdarzenia w przyrodzie. Życie, śmierć, szczęście, błogosławieństwo, dzielność, przyjaźń, miłość, nienawiść, piękno, urodzaj, szczęście małżeńskie — burza, pioruny, woda, ziemia i t. d — wszystko to znajduje u nich swój symbol. Dla człowieka Wschodu dywan sam zawiera symboliczne obrazy, które przemawiają do niego w momentach medytacji. Tło dywanu nazywa Pers „Zemin" (przestrzeń) — która mu uzmysławia wszystko, co wieczne. Również rozmaite jego desenie stanowią taką samą podnietę do medytacji. Dla Persa oznaczają te wzory ożywcze piękno natury, dlatego nazywa je „Zeman" — (czas).

Wedle mniemania wierzącego mahometanina, sam tylko Allah, który jest doskonały, może stworzyć rzecz bez zarzutu, a gdyby człowiek silił się, by zrobić coś doskonałego — byłoby to karygodnem zuchwalstwem. Dokładny, regularny rysunek, doskonała robota w wykonaniu dywanu — ściągnąć może gniew Allaha, zatem pobożny tkacz, nie chcąc popełnić grzechu, często umyślnie w drobiazgach odstępuje od swego wzoru, wedle którego robi dywan. Wiele z tego, co we wschodnich dywanach i przedmiotach starej sztuki uważano za błędy, należy przypisać właśnie takiemu odczuwaniu wykonawcy. Także w celu obrony przed „urokiem" — złym wzrokiem, przynoszącym nieszczęście — co ma być właściwością niektórych ludzi — w tkaninach, szczególnie w dywanach, umieszcza on często małeńkie, obce ornamenty, albo barwne plamki nie zgadzające się wcale z ogólnym tonem całości. Tak naprzykład — ni stąd, ni zowąd — w ciemnej purpurze centralnoazjatyckiego dywanu ukazuje się niespodzianie jeden lub dwa szmaragdowo-zielone punkciki, jak oczy bazyliszka, albo widzi się jakiś czysto biały ornamencik, chociaż cały dywan utrzymany jest w ciemnych, ponurych barwach. Szczepy Sziras w Persji uzmysławiają sobie djabła w postaci koguta i w ich najcenniejszych dywanach znajduje się często mały, geometrycznie narysowany kogucik, również mający bronić przed złym wzrokiem. W Turkiestanie motywy chmur i wody, stanowiące zazwyczaj stylizowany rysunek bordiury dywanu, mają nie dawać dostępu złym duchom. U nomadów oddawna istniał zwyczaj, że w dywanach, tkanych na własne potrzeby, umieszczali małe, niezwykłe ornamenciki, aby te, stosownie do barwy — zaznaczały radosne wydarzenia w rodzinie, lub upa-

Dokończenie na str. 15-tej

CZY PANI GRA W ZIELONE?

Czy pani gra „w zielone“?

Oto pytanie, z którem w pierwszych dniach tegorocznej wiosny zwróciłem się niespodzianie do uroczej artystki p. Janiny Romanówny. P. Romanówna jest najbardziej „wiośnianą“ gwiazdą polskiej sceny. Gra właśnie rolę kwieciarki Elizy w świetnej sztuce Bernarda Shava — „Pigmaljon“. Choć grana już przed kilku laty, wznowiona przed miesiącem, sztuka ta zdobyła znów pełny sukces i odbiła się głośnem echem w życiu teatralnem stolicy.

Eliza, jest prostą, szczerą, w pojęciu świata eleganckiego, nieokrzesaną dziewczyną Kocha swoj kwiaty, nigdy nie rozstając się z bukiecikiem fjołków. Na skutek splotu wypadków przemienia się w damę z wielkiego świata. Nie czuje się jednak szczęśliwą. Na całe życie, mimo bogactwa, wiedzy, kultury, jedynem pięknem i kochanem wspomnieniem pozostaje dla Elizy zawsze ów skromny bukiecik fjołków, przypominający jej „własną“ młodość.

Janina Romanówna gra swą rolę wspaniale. Wczuwa się w nią, rozumie bohaterkę. To też rozmowa nasza o grze w „zielone“ rozwinęła się na tle przeżyć kwiaciarki Elizy.

— Ależ naturalnie! Gram w zielone — mówi wesoło artystka. — Co wieczór gram w tę miłą grę... na scenie z publicznością No i gram z wielką pewnością wygrania Wszakże przez całą sztukę mam przy sobie świeży bukiecik fjołków.

Po chwili p. Romanówna dodaje:

— Zawsze wiosną z rozrzewnieniem wspominam sobie owe majówki z dziecinnych lat. Zbierało się fiołki i namiętnie grywało zawsze w zielone. U nas, we Lwowie...

— Jak to, „u nas“? — przerywam.

— Jestem Lwowianką — mówi z Juną artystka. — A zatem u nas we Lwowie wśród dzieci rozpowszechnił się, jako swego rodzaju curiosum, następujący wierszyk powtarzamy przy grze w zielone:

Grünes? — gram.
Pokaż! — mam.

„Piękny“ ten wierszyk był obowiązkową formułką. Ciekawam, czy ten niemiecki wyraz, który niewiadomo w jaki sposób dostał się do wierszyka, długo jeszcze utrzyma się wśród dzieci?

Słowa artystki, a zwłaszcza jej wspomnienia dotyczącego owego wierszyka, z popiątanemi wyrazami polskiemi i niemieckiemi, skłoniły mnie do głębszego zastanowienia się o tej niewątpliwie ciekawej, choć pozornie naiwnej gry „w zielone“. Czyżby nie zacząć wiosennej ankiety na temat „czy pani gra w zielone“ od... archiwów naszych bibljotek? Materjał jaki odnalazłem, okazał się wprost rewelacyjnym. Oto grę „w zielone“ znal już Kochanowski czyli, że istniała ona już około 1550 roku. Nasz wielki poeta napisał nawet następujący wiersz o owej grze:

Z tych drzew zrywam latorośle,
Te Marynie pięknej poślę;
Zielonem niech się zabawi
A niech słuszny zakład stawi.
Ta gra tem się prawem chlubi,
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub go zbędzie innym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem.

W archiwach sporo jest dzieł, które omawiają gry, zabawy, zwyczaje i tradycje ludu polskiego ubiegłych stuleci. Do takich należą: Glogera „Rok Polski“, olbrzymie dzieło o kilkunastu tomach Oskara Kolberga z roku 1885 pod tytułem „Lud“ i wreszcie niezwykle oryginalna książka Łukasza Gołębiowskiego, wydana w Warszawie w roku 1831 pod tytułem „Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym lub niektórych tylko prowincjach opisane“. Wszędzie w książkach tych silnie podkreślona jest wiosna, jako okres najbardziej radosnych i najliczniej występujących zwyczajów i zabaw. Sobótki, Wianki, Śmigus — tradycje sięgające czasów słowiańskich są tego najlepszym przykładem.



W kole: Loda Halama.
Fot. Varsavia-Film.



Na lewo: Zosia Terné.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa

Miesiąc maj jest szczególnie wdzięcznem tłem dla gier i zabaw, wiążących się tak czy inaczej z przyrodą. Oto jak tłumaczy to zjawisko Gołębiowski:

„U starożytnych ludów była Maja — bogini. Cześć jej oddawano pierwszego dnia tego miesiąca i dotąd przyzywanie jej i tańce wiejskie z tego powodu zachowały się u Greków. Zdaje się, że i nam poniekąd Maja była znana; Słowianie przez pieśni i tańce na murawie zwykli witać wiosnę“.

Wiosna, jej dynamiczna siła, budząca się roślinność, sprzyjają zarówno zabawom jak i pielęgnowaniu innych tradycyj. Oto dwa dalsze cytaty, które jakże barwnie rysują owe nastroje, w ubiegłych stuleciach. Pisze Kolberg:

„Niegdyś był zwyczaj, że na pierwszego — do trzeciego maja parobczaki i chłopcy djabła obszytego w chusty ze słomy, włócząc po ulicach nawoływali a kijami go tłukli i w rzece potem topili. Może dlatego, aby nie wstąpił w babę, wedle znanej powiastki. W piwo kwas, robak w mięso, a w babę djabeł... W tym miesiącu... leki się udają, a to ziół mnóstwo. Zdrowo być miało wedle starych kalendarzy krew puszczać lub wziąć na przeczyszczenie i każdy niemal 40—60-cio letni tego używał“.

Zaś ks. W. Siarkowski omawiając w numerze szesnastym Gazety Kieleckiej z roku 1874 znaczenie, jakie przywiązuje lud do świeżo wyrosłych na wiosnę roślin, opowiada o starej legendzie Gór Świętokrzyskich:

„W lasach Gór Świętokrzyskich rośnie ziele podobne do mięty, nazwane przez lud zielem św. Jana, a po które czarownice odbywają podróż na Łysicę w wilję św. Jana. Uszczknięty wierzchołek ziela w dzień ten ma mieć jakąś moc czarodziejską i dlatego też zabobonni dokładają wszelkich starań, uszczknąć ziele, które ma zapewnić skuteczność ich czarom“.

Jeśli wśród ludu tak wielkie znaczenie przywiązywano zawsze do roślin, ziela i kwiatów w pierwszych dniach wosennych, musiała siłą rzeczy rozwinąć się w wiekowej tradycji niejedna gra, w której kwiat czy roślina odgrywała by poważną rolę. Taką zabawą jest mało znany już obecnie po wsiach tak zwany „gaik“. Kolberg, który każdy z licznych tomów swego dzieła poświęca innej krainie polskiej, odnalazł zwyczaj obchodzenia gaika niemal w całym kraju. Gaik polegał na tem, iż chłopcy i dziewczęta danej wsi obchodzili z zieloną gałązką całą wieś, śpiewając przy tem pie-



Na prawo: Stefcia Górska.
Fot. Dorys — Warszawa.



Janina Romanówna.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.



Na prawo: Lula Kryńska.
Fot. „Film-Foto“, Warszawa.

śni. Gałązkę, zwaną gaikiem niosła najpiękniejsza dziewczyna, bacznie pilnując, by drogocennego skarbu nie zgubić. Z bogatego zbioru Kolberga przytoczę kilka piosenek, śpiewanych przy obchodzie „gaika". Oto pieśń najbardziej odpowiadająca nastrojom wiosennym, pochodząca z pod Łowicza:

Zielona pszeniczka,
Bo na zimę siana
Wiosną się zieleni.
W lecie kwitnąć będzie.
Pan gospodarz
Przechodzi się wszędzie.

Inaczej śpiewano w Kieleckiem:

Gaiku zielony
Pięknie ustrojony.
Ja z gaikiem do Lublina,
Za gaikiem becka wina.
Pięknie ci się chodzi,
Bo ci się tak godzi.
Ja z gaikiem do Warszawy.
Za gaikiem chłopiec żwawy.

Podobna wersja, lecz swawolniejsza pochodzi zpod Czerska:

Idziem z gaikiem
Kole sadzaweczki,
Chłopcy za nami
Z flaszką gorzałecki.
Idziem z gaikiem
Kole chliwka,
Chłopcy za nami
Z konewecką piwka.

Są powody, dla których można przypuszczać, iż gaik ma dużo wspólnego z grą „w zielone", że prawdopodobnie jedna gra jest prototypem drugiej. Mogł też rozwinąć się wspólnie: gaik z noszoną gałązką, jako gra gromady, w „zielone", zaś z jednym listkiem dla dwojga osób.

Gołębiowski w swem dziele o „Grach i Zabawach różnych stanów" zalicza „zielone" do gier o zakład. Nie wiele jej miejsca poświęca, rozwodząc się obszerniej pod koniec odnośnego rodziału o fantach, które dawało się w razie przegrania gry. Relacja autora, który pisał swą książkę przed stusześciu laty brzmi:

„Ta gra już nie chwilowa, ale trwalsza, zaczyna się właściwie od drugiego święta Wielkanocy i ciągnie się do świętego Michała. Dwie osoby umawiają się, że przez cały tego czasu przeciąg, zawsze zielone mieć będą: listek, gałązkę, coś podobnego, robią oraz jakby zakład czem się okupi ta, która bez zielonego zdybaną będzie. Gra to dzieci, przyjaźni, miłości, mogąca dawać sposobność zrobienia upominku, nazywana i „mienione", że często zielone trzeba odmieniać, albo, że między sobą tę zieloność grające osoby zamianiały".

Nie bagatelizujmy więc tego sympatycznego, dziś niestety już tylko szkolnego zwyczaju gry w „zielone". Tkwią w niej długie i prawdziwie polskie tradycje.

Wszystkie panie, spośród naszych gwiazd i gwiazdeczek sceny, do których zwróciłem się z zapytaniem mej „zielonej" ankiety, przyznały szczerze, że choć czasy gry w „zielone" należą do ich najmilszych wspomnień dziecinnych i szkolnych, jednak dziś już zarzuciły ów zwyczaj. Jedna tylko p. Ewa Bonacka, należąca do najmłodszych, niedawno „odkrytych" gwiazd warszawskiej sceny, przyznała z rozbrajającą prostotą:

— Zawsze lubiłam i teraz bardzo lubię grę w zielone. Za czasów „sztubackich". gra w zielone była jedną z najmilszych i najbardziej emocjonujących form niewinnego flirtu. Grałam także w zielone już tej wiosny. Z kim? Oczywiście z poetą, gdyż tylko poeci mają takie wiosenne pomysły. Gdzie? W Café Club. O co? O dwa cocktaile!

— No i z jakim rezultatem? — zapytałem artystkę.



Ewa Bonacka,.
Fot. Halina Zalewska, Lwów.

— Niestety — przegrałam. I jak to mówią... wykręciłam się sianem — to także przecież zielone!

P. Zosia Terné, uchodząca za najmniejszą (wzrostem, nie sławą) gwiazdkę sceny rewjowej, ulubienica warszawskiej publiczności, odpowiedziała krótkim a wesołym kalamburem:

— Kiedy byłam jeszcze mniejsza, niźli dziś jestem, grałam w „zielone". Od czasu, kiedy już jestem większa, występuję na scenie i śpiewam, aż papugi zielenieją z zazdrości!

Gdy odwiedziłem p. Zofję Lindorfównę... przyłapałem naszą piękną artystkę na gorącym uczynku gry w „zielone", która jednak przybrała u artystki nieco odmienne, specyficzne formy. Ten swoisty sposób gry jest napewno uprawiany obecnie przez wiele osób... rozmarzonych wiosną i planami zbliżających się wycieczek i wyjazdów.

Poniżej: Zofja Lindorfówna.
Fot. Forbert, Warszawa.



— Moja gra w „zielone" niewiele ma co prawda wspólnego z kolorem zielonym — wyjaśnia artystka z uśmiechem — polega bowiem na studjowaniu map. Z nastaniem wiosny opanowuje mnie tęsknota, prawie maniacka za podróżami. Uśmiecham się do pociągów, śnią mi się okręty, z samolotami jestem jedynie z lekka na bakier. Snuję marzenia, projektuję... A ponieważ marzeń nie można tak odrazu zrealizować, bo trzeba jeszcze popracować na próbach i zagrać premjerę, więc na razie poprzestaję na prospektach i na wędrówkach po mapie. Kraje na mapie barwione są różnokolorowo, przeważnie zielono. Może ta moja wiosenna „gra" powinna się nazywać raczej „tęczowa", ale skoro już koniecznie musi być w „zielone" to i na to się zgadzam, gdyż zielono kolorowana jest Jugosławja, a to kraj, który uwielbiam!

Loda Halama, taka jaką znamy ze sceny, to uosobienie żywości, werwy, niemal szaleństwa. Taka Loda napewno gra w „zielone" — myślimy. Ale czy taka Loda ma czas na sentymentalne rozważanie nastrojów wiosennych?

Nasza sława taneczna potrafiła dać odpowiedź, potakującą na obydwa pytania. Na drugie — opowiadaniem o swej wielkiej miłości dla kwiatów i wiosny, na pierwsze zaś takiem żywiołowem zdaniem:

— Grę w „zielone" uważam za pyszny pomysł, nie tylko dla młodzieży, ale dla wszystkich w wieku do stu lat. Jest to gra tem przyjemniejsza, że ciągle przypomina o nadchodzącej nareszcie wiośnie i co za tem idzie, o radości życia. Jest to jakby symbol samej wiosny a tak bardzo chcemy słońca, słońca i jeszcze raz słońca. Radziłabym propagować takie hasło — mówi artystka, śmiejąc się łobuzersko — „Grajmy w zielone, ubierajmy się w zielone, z wyjątkiem „zielono w głowie!"

Uwodzicielsko piękna p. Lula Kryńska, najmłodsza artystka Teatru Jaracza, jest w życiu codziennem przemiłym, wesołym kompanem.

— Kto jak kto, ale pani to napewno gra w „zielone" — zwracam się do pięknej artystki. Już chociażby ze względu na swą metrykę...

— Zgadł pan, drogi panie Romicie. Gram z pasją i to jak rok długi...

— Czy możliwe? — mówię w najwyższym zachwycie.

— Owszem, tylko z małą poprawką. Gram nie w „zielone", lecz przy zielonym... stoliku w brydża. To taka nowoczesna gra w zielone dzisiejszej młodzieży.

— A pani? Czy pani gra w „zielone"? — zapytałem na koniec p. Stefcię Górską, przemiłą artystkę, jedną z niezawodnych podpór „Cyrulika".

— Teraz już nie — usłyszałem odpowiedź. Dawniej, jeszcze za czasów dziecięcych zawsze bardzo chętnie grywałam i nawet wpadłam wówczas na zabawny pomysł, dzięki któremu nigdy nie przegrywałam!

— Co to było? — pytam zaciekawiony.

— O widzi pan, to było tak — mówi artystka. — Nosiłam stale na szyi mały flakonik, umocowany na wstążeczce. Do flakoniku napełnionego wodą, kładłam listek, który zachowywał świeżość przez kilka dni. Przypominam sobie, że koleżanki przezwały mnie z tego powodu „Stefcia flakonik".

— Ależ to pyszny pomysł — wołam. W ten sposób nigdy się nie przegra!

— Tak jest. Niechże pan dorazi ten system Czytelnikom Asa!

— Doskonale — kończę. Napewno z tej rady skorzystają, grając tej wiosny w nasze miłe staropolskie „zielone".

Romit.

DYNAMIKA CYFR

Jest wiele spraw między niebem a ziemią, o których nie mówią filozofowie. Nie dlatego, aby owe zagadnienia były może zbyt skomplikowane dla ich wszechstronnych mózgów, ale — że ich nie raczyli jeszcze zauważyć. Jednym z takich problemów jest dynamika liczb, uważana często za piękną fantazję łatwowiernych mózgów. Nie mamy zamiaru ani przekonywać, ani ośmieszać tematu, do którego podejdziemy z ciekawością człowieka, pragnącego zdobyć jakąś nową „wiedzę", chociażby ona miała nawet posmak objawu zbyt wybujałej fantazji...

Co nam mówią o liczbach „wiedzący"? Oto, że liczba jest podstawą istnienia Wszechświata. Jest osnową czasu, przestrzeni, wymiarów, ruchu, formy. Rządzi budową atomu i gwiazdy. Bez ściśle określonego liczbowego stosunku elektronów do protonu nie mogłaby istnieć materja fizyczna; zmiana tego stosunku zmienia też rodzaj elementów chemicznych.

To w porządku. To nawet logiczne i jasne. Ale tu wkroczymy dopiero w cały fantastyczny świat liczb. Oto ze swego imienia i nazwiska każdy odczytać może swoją liczbę, a przez to określić swój charakter, przewidzieć częściowo swój los i możliwości swego rozwoju. Wiedza o liczbach opiera się na prawie wibracyj, które na płaszczyźnie fizycznej tworzą materję, w eterze stają się dźwiękiem, a w substancji mózgowej — myślą. Potwierdza tę hypotezę nowoczesna teorja atomiczna. Nowa fizyka nazywa bowiem systemy słoneczne atomami nieogarniętego kosmosu, a w atomie odnajduje złożoność słonecznego systemu. Jednem słowem, „jak w górze, tak i na dole". Słowa szmaragdowej tablicy po trzykroć wielkiego Hermesa stają się nieco zrozumialsze. Ale nie czynią nam zrozumialszemi tajemnicy liczb, tych liczb, które „wibrują" na mocy własnej, ściśle określonej dynamiki, a którym odpowiadają poszczególne litery alfabetu.

Jeżeli kiedy litery imienia i nazwiska danej osoby zastąpimy przez odpowiadające im liczby, tajemnica indywidualności tej osoby zostanie ujawniona. Każdorazowa zmiana nazwiska, lub przybranie pseudonimu rysuje pewne zmiany w charakterze danej osoby. Często nieuznawany literat przy zmianie nazwiska na odpowiednio dobrany pseudonim zyskuje popularność. Mark Twain i Sarah Bernardh są jaskrawym dowodem, jak bardzo na ich sławę wpłynęło przybranie szczęśliwego pseudonimu. (Poprzednie nazwiska oryginalne: Samuel Langna Twain i Rosine Bernard). Każde nazwisko posiada swą odrębną skalę wibracyjną, w sharmonizowaniu zatem nazwiska i indywidualności danego osobnika leży tajemnica powodzenia i dobrego samopoczucia.

Często mówimy, że dzień jakiś darzył nas wyjątkowo dobrem nastawieniem do życia, inny znów „nieudany". Poprostu wszystko w tym dniu „działało nam na nerwy". Ukrytą przyczyną tego zjawiska jest harmonja lub dysharmonja naszych osobistych wibracyj z wibracjami kosmicznemi danego dnia.

Aby z imienia i nazwiska odczytać tajemnicę losu i charakteru, należy przedewszystkiem ustalić, jakim liczbom odpowiadają poszczególne litery. A zatem:

a (ą)	b	c	d	e	f	g	h	i
1	2	3	4	5	6	7	8	9
j	k	l (ł)	m	n	o	p	q	r
1	2	3	4	5	6	7	8	9
s	t	u	v	w	x	y	z	
1	2	3	4	5	6	7	8	

Liczbie 1 odpowiadają: oryginalność, zdolności twórcze, niezależność, duch pionierski. Jeżeli przejawiają się ujemne strony charakteru, to dominuje zbyt wybujały, bardzo trudny do opanowania temperament.

Liczba 2: umysły zrównoważone, spokojne, dobre do współpracy z innymi, zawsze zadowolone z warunków, w jakich je los postawił. (Aspekt ujemny: poza, pochlebstwo, krytycyzm i „szukanie plam na słońcu").

Liczba 3: Całkowite i radosne przejawienie się poprzez piękną i szeroką pracę dla ludzi. Liczba jednostek o „wielkiem sercu". Marzą oni o zreformowaniu ujemnych stron życia społecznego, aby wszędzie kwitła radość i szczęście. Niezależni, różnorodnie utalentowani (artyści!) cieszą się powodzeniem i dobrobytem. Poczucie humoru, dowcip i szybka orjentacja. (Aspekt ujemny: samolubni, kapryśni, zmysłowi).

Liczba 4: Jednostki oddane nauce, zamiłowani bibljofile, „szperacze książkowi", u których ostry krytycyzm i skłonność do nadmiernej analizy utrudniają wszelkie osiągi w tej dziedzinie. Bardzo często pozostają w trudnych warunkach materjalnych. (Aspekt ujemny: życie pełne ograniczeń i ciężkiej pracy. Skłonność do skąpstwa).

Liczba 5: Badacze życia we wszystkich jego przejawach. Metafizycy i filozofowie. Lubią ruch, zmianę, nowe wrażenia, nowe otoczenie. Powodzenie, nawet materjalne, idzie ich śladem. „Złote serca" pod pozorem szorstkości. Silne ciążenie do płci przeciwnej. (Aspekt ujemny: brutalni, egoiści, donżuani, burzyciele ognisk domowych, intryganci).

Liczba 6: Charaktery wzniosłe, chętnie oddają się pracy społecznej. Nieco konserwatywni. Uczucia rodzinne i narodowe silnie zaznaczone. Odważni, pełni energji i zapału, cenią wysoko honor i szlachetność charakteru. (Aspekt ujemny: apodyktyczni, lekceważący cudzy punkt widzenia, uparci i zaślepieni, opuszczani są często przez swych najbliższych. Żądni pochlebstw i nadmiernej wdzięczności).

Liczba 7: liczba ta jest symbolem doskonałej równowagi wewnętrznej, kultury i niezłomnej woli. Wrażliwość i duma, zatapianie się w sobie i ukochanie samotności wybitnie podkreślone. Rzadko rozumiani przez otoczenie. Liczbę 7 spotyka się u wielkich artystów. Powodzenie materjalne nie jest ich udziałem. (Aspekt ujemny: niespokojni, ironiczni, brutalni, ateiści, lubią drwić ze wszystkiego, co nosi piętno subtelności i uduchowienia).

Liczba 8: Najszczęśliwsza na planie materjalnym, zamyka w sobie pełnię życiowego powodzenia, potęgi, niezależności, zdobywczości. Znakomite zdolności dyplomatyczne i „szczęśliwa ręka" do interesów. Często zaliczani, dla swych zdolności kupieckich, do wybitnych business-manów (Aspekt ujemny: lichwiarze, wyzyskiwacze, egoiści, albo ludzie, którym się zawsze „grunt z pod nóg usuwa").

Liczba 9: Liczba wielkich twórców i artystów. Miłość i pieniądze są ich udziałem, a cały świat polem działania. Kosmopolici, obejmujący cały świat, jako jedną wielką rodzinę. Wszelka istota żyjąca znajduje u nich pomoc i opiekę. Natury uczuciowe, nerwowe i namiętne. (Aspekt ujemny: samolubni, krzewiciele destrukcyjnych namiętności, często używani za narzędzie zła w ręku jednostek silniejszych).

Z liczb dalszych brane są pod uwagę jeszcze tylko 11 i 22.

11 to liczba genjuszów, zesłanych dla dobra ludzkości. Silna wewnętrzna dynamika, działania pod wpływem natchnień. Intuicja, wyczuwanie niejasnych sytuacyj, fałszywych przyjaciół i ukrytych wrogów. Cechuje ich potęga ducha, niezłomność i służenie wielkim Prawdom. (Aspekt ujemny: Charaktery liche, skłonne do wszelkich nadużyć. Stała zależność finansowa).

22 to liczba Mistrzów, czyli tych, którzy w zupełności opanowali swą osobowość. Wywierają potężny wpływ na otoczenie. Urzeczywistniają oni najświętsze marzenia ludzkości. (Aspekt ujemny: Zbrodniarze, arcyłotrowie, okrutnicy, oszuści światowej sławy.)

Modus operandi.

Aby zastosować ową wiedzę do celów praktycznych, wypisujemy jakieś znane nam nazwisko, np.

Jan	Kiepura
9 + 1 + 5 = 15	2 + 9 + 5 + 7 + 3 + 9 + 1 = 36
1 + 5 = 6	3 + 6 = 9

(Jeżeli wypadnie liczba 11 lub 22 to pozostawia się ją bez zmiany!)

A zatem liczba imienia 6 oznacza w życiu domowem wiele ciepła, uczuć rodzinnych, szlachetny charakter i zalety społeczne. Liczba 9 w nazwisku podkreśla artyzm i zdolność przejawiania go w zadziwiający sposób. „Miłość i pieniądze są jego udziałem!" Cały świat jest dla niego polem działania... Doprawdy, że tej charakterystyce nic zarzucić nie można!

A teraz drugie nazwisko:

Marjan	Dąbrowski
4 1 9 1 1 5	4 1 2 9 6 5 1 2 9
21 = 3	39 = 12 = 3

W imieniu i nazwisku dominuje trójka. Trójka to moc budowania nowych form. Udziałem ludzi, nad którymi „panuje" trójka, jest szeroka, humanitarna praca dla ludzkości. Sami niezależni, dążą do poprawy losu szerokich mas, zawsze pełni zapału, radośni i pogodni są pożądanymi przyjaciółmi, oraz zwierzchnikami, otaczanymi szacunkiem i przyjaźnią. Wielkość ducha i incjatywa jest ich szczególnym przymiotem.

Czy i tu liczby zawiodły? Czy nie dały wspaniałej, aczkolwiek bardzo skróconej sylwetki człowieka, którego nazwisko stało się synonimem humanitarności i dążeń, zmierzających do ulżenia wszystkim biednym i pokrzywdzonym w Polsce?

Na zakończenie jeszcze jedno nazwisko:

Zygmunt	Nowakowski
8 7 7 4 3 5 2 = 36	5 6 5 1 2 6 5 1 2 9 = 42
3 + 6 = 9	4 + 2 = 6

Szanowni Czytelnicy sami stwierdzą, czy charakterystyka tych liczb (odwrotna, jak u Kiepury) nie zamyka w sobie wszystkich zalet tego niezwykle zdolnego i cenionego artysty, który jest tak samo wielkim literatem, jak i zupełnie nieprzeciętnym, o wysokich walorach człowiekiem.

Trudno wyczerpać wiedzę o liczbach, zamykającą cały tom, w jednym krótkim artykule, ale czy te wszystkie przykłady, to tylko taki dziwny przypadek? Gdyby nawet tak było, to warto się nad nim zastanowić i warto podjąć trud zanalizowania własnego imienia i nazwiska!

Jerzy Garada.

Taurus mysłowicki czarnoksiężnik.



Czasy to dawne, ginące w pomroce przeszłości. Pamiętne, ponieważ przeszły w opowieść, która nigdy nie zaginie i nie zatrze wspomnień z minionych epok, co wracają do życia historją faktów z pod grubej warstwy pyłu i zapomnienia wydobytych.

Działo się to około 1640 roku, a więc blisko trzysta lat temu. Mysłowice głośne były z goszczenia w swych murach znakomitości na ówczesne wieki, popularnej nietylko w okolicy, ale i w sąsiednich ziemiach. Był nią Jan Taurus, alchemik, astrolog i lekarz — co osobistą wiedzą i wszechstronną praktyką, czyniąc cuda, był uważany za wcielenie jakiejś nadprzyrodzonej potęgi, — za inkarnację bóstwa, zarazem za wysłannika czarnoksięskich wschodnich magów.

Domostwo alchemika, zbudowane z grubej dębiny, osadzone na ciosanym kamieniu, leżało w ostrym trójkącie dwóch ulic (dzisiejsza Towarowa i Starokościelna) w pobliżu kościoła farnego św. Anny i niedaleko rynku. Wygląd budynku, wyróżniający się oryginalnością od reszty zabudowań, jak i frontowa fasada, pokryta rzeźbą z zagadkowych znaków astrologicznych, konstelacjami i ugrupowaniami gwiazd i planet, mówiły wiele o niesamowitym mieszkańcu tajemniczego domu. Głęboko osadzone okna z kolorowego szkła weneckiego oprawnego w ołów, nadawały całości charakteru ponurego i niesamowitego.

Pomimo tych pozornych koszmarności siedziby Taurusa, zajeżdżały do niego sążniste zaprzęgi szlachty i karoce wielmożów, a nawet małe chłopskie szkapiny, przysiadane na oklep. — Przyjeżdżano z dalekich województw do alchemika i lekarza po radę, wskazówki, które były nieomylne, — lub zabieg chirurgiczny, jeżeli będziemy mówić terminologją dzisiejszą. Bo dla ścisłości historycznej należy dodać, że Janus, jak go powszechnie nazywano, był i eskulapem, uśmierzającym wszelkie dolegliwości ciała.

Szemrano i mówiono sobie w pospólstwie, żegnając się z namaszczeniem przy wymawianiu nazwiska Taurusa, że na szczycie czworokątnej wieżyczki, gdy noc zapadła i sprawiedliwi ułożyli się do snu, o północy zapalały się okna szkarłatem, co oślepiał i raził, a na wystających gontach jakieś skrzydlate moce wyprawiały harce. Nikt z opóźnionych w takiej porze, nie ważył się przejść obok budynku alchemika.

Trudno dociec, czy w godzinę duchów Taurus odprawiał egzorcyzmy, czy zaklęcia. Czy zatopiony w mgławicach spiralnych doszukiwał się nieznanych słońc nowych światów, czy też w czarnoksięskich sabatach, za Herjodem gonił za szczęśliwym kowadłem Wulkana, co 9 dni i nocy leciało z nieba na ziemię i drugie tyle z ziemi do otchłań i piekieł. Wyolbrzymiona sylwetka alchemika rzucała wydłużone cienie na witrażowe okna wieżycy, rozczepiała się, podwajała, to znów zapadała w wydłużonym otworze podłogi i schodów, wiodących do pracowni alchemicznej. Ze świtem — gasły światła w wieżyczce i czmychały widziadła. Taurus przechodził do olbrzymiej izby. Tam wprawiał w ruch wahadła, zawieszone u powały. Następnie rozżarzał ogień pod tyglami, chwytał urojone molekuły, pierwiastkował metale i gubił się w „Tabuli smaragdinie" mitycznego Hermesa Trismegistosa, aby z zawartych w dziele tajemnic wydobyć kamień filozoficzny i zamienić ołów na szlachetne złoto. Na trójnogach spoczywały kuliste planetarja, ekierki, krążki i formy. Tak mówią zapiski.

Wiedziano o sztukach i praktykach Taurusa bardzo niewiele. Podobno z grudki złota, wielkości ziarnka pszenicy, wykuwał około 10.000 cieniutkich blaszek, które ułożone jedna na drugiej nie przekraczały grubości owego ziarna... Po układzie ciał niebieskich przepowiadał naprzód stan pogody, choroby i śmierć. Leczył i uzdrawiał środkami, spreparowanemi w sposób, sobie tylko znany. Zapalał wodę i powietrze, ogień zamieniał w wodę. Był w posiadaniu talizmanów i fetyszów, przedstawiających sylfy, salamandry, gnomy i ondyny, co chroniły przed „złym wzrokiem" (urokami). Talizmany te odlane z męskiego i żeńskiego metalu, chroniły macierzyństwo i potomstwo, odpędzały złe duchy...

W roku 1675 zniknął alchemik bez śladu — na zawsze. Wierzono, że będąc związany „traktatem djabelskim" w określonym czasie został porwany żywcem do... piekła. Tak mówi legenda. Podobno jednak nie ustały demoniczne misterja w opuszczonym budynku. Taurus pozostawił jedynego syna, Kacpra, co dalej pogłębiał niesamowite nauki ojca, wyczyniając cuda i dziwy, jako nieczyste w pojęciu pospólstwa.

Dlaczego Jan Taurus, magister „sztuki królewskiej" (jak określano od XV wieku astrologję), biegły w tej dziedzinie, odsłaniając swym kunsztem tajemnicze prawa przyrody, nie znalazł się obok takich znakomitości astrologicznych polskich, jak Biernat, Brożek, Bembus, Mocanius, Proboszczewicz czy Żedzianowski i dlaczego nie przeszedł do historji, a utrzymał się tylko w legendzie — pozostanie tajemnicą.

Być może, że Taurus — jako alchemik, astrolog, lekarz i „cudotwórca" w powszechnej opinji uzdrowieńców i innych szczęśliwców — nie mógł być uważanym za człowieka nauki przez uczonych, ponieważ nie posiadał dyplomu, a zatem wykonywał swe praktyki „iusto titulo et facto", nie dbając, jak go potraktuje współczesność, a tem bardziej historja.

Nie dbał o ważkość doczesnych wyroków i nie zwracał szczególnej wagi na języki i opinje. Może przejęty charakterystyczną sentencją, wyrytą na drzwiach wiodących do pracowni alchemicznej: „Non nobis Domine, non nobis — sed Nomini Tuo da gloriam", a więc nie dla własnej sławy i splendoru, a na chwałę Stwórcy — i pożytek bliźniego zapomniał o ziemskiej sławie.

Nie można jednak utrzymać się przy tych przypuszczeniach, bo natkniemy się na fakt nazbyt prozaiczny, a już jak na wiek XVII niezbyt samarytański, ze strony mysłowickiego astrologa. Mianowicie Taurus, wykorzystując swoje trafne spostrzeżenia i horoskopy, nie gardził za przykładem przedsiębiorczego astrologa — Talesa z Miletu, hojnem wynagrodzeniem za receptę czy horoskop od mieszczek mysłowickich, które stanowiły największy procent klienteli ponurego domu sabatów.

Dom Taurusa o bardzo ponurym wyglądzie dziwnego ułożenia okien, wnęk, podcieni, okapów i krużganków, sąsiadował w pewnej odległości z kościołem parafjalnym św. Anny. Dom ów, w wyobraźni pospólstwa, był przybytkiem niesamowitych praktyk, gdzie mistrz w hermetycznych tyglach przygotowywał mikstury, stawiał diagnozy i układał astrologiczne tablice.

Pomimo wszelkich koniecznych ostrożności w utrzymywaniu bliskiego kontaktu z obywatelami mysłowickimi i pewnych zastrzeżeń duchowieństwa co do praktyk alchemicznych astrologa, nigdy nie brakło chętnych i ciekawych swego losu, którzy z namaszczeniem przekraczali próg siedziby Taurusa.

Taurus doszedł do wielkiej doskonałości matematycznej przy obliczeniach ruchu planet, że nietrudno mu było określić zgóry pewne przemiany falowe w meteorologji, a będąc przytem nienajgorszym retorykiem, umiał suggestywnie nadać powagę stawianej diagnozie czy horoskopowi.

Taurus posługiwał się przy horoskopach „Traktatem króla babilońskiego, Sargona", napisanym, jak wiemy, na 200 lat przed Chrystusem, gdzie były zebrane dzieje i ogólne zasady starożytnej astrologji — „nauki nauk". Nie gardził też dziełem „Tetrabiblos" Ptołomeusza, które i dzisiaj nie straciło na swej świeżości i oryginalności. Orzeczenia swoje czy opinje wydawał Taurus przeważnie dnia następnego, a często po tygodniu.

Słusznie mógłby ktoś mniemać, że alchemik i astrolog w jednej osobie musiał być niewierzącym. Otóż opinja o „nieczystej sile" praktyk Taurusa zrodziła się wśród gminu z ploteczek i opowieści okolicznych mieszczek. Jako zaprzeczenie niech posłuży jedna z licznych inwokacyj do „Mistrza wszechświata", gdzie astrolog, mając do rozwiązania zawiłą sprawę sercową jakiejś nieszczęśliwej „białogłowy", tak prosi Stwórcę o pomoc i radę: „Mistrzu nauk i tajemnic, Stwórco wszechrzeczy, Boże Abrahama i Jakóba, Mądrości wieczna, Królu królów, co siedzisz na prawicy Boga-Ojca i Stworzyciela wszechświata — przyjdź z mądrości swojej majestatem, rozpędź pomrokę niedoskonałości nędznego grzesznika, co pragnie Cię w prochu swej nicości i słabego odblasku uczcić i uwielbić; — napełnij serce słońcem słońc teraz i na wieki amen".

Taurus był pomocnym w cierpieniach ciała i duszy — mając wzięcie tak u pospólstwa, jak i możnowładców. Rozmawiał z gwiazdami, odkrywał nowe związki pierwiastków w tyglach, lokalizował i niszczył boleści chromego ciała, preparował zioła i wonne maście na „gładkie liczka" białogłów. A lwią część czasu poświęcał podobno „nauce nauk" i alchemji, z jasno wytkniętym celem i zasadą: „rerum cognoscere, causas et valorem", — poznać przyczynę i wartość rzeczy.

W roku 1810, Napoleon w swym triumfalnym pochodzie, zatrzymał się ponoć gospodą w domu Taurusów, gdzie potomek głośnego praszczura Jana, dokonał cesarzowi ekstrakcji chorego zęba... bez bólu. Kronika przygód Napoleona milczy o cudownym zabiegu Taurusa. Ale jeszcze przed trzydziestu laty wskazywano na zrujnowane domostwo, przy zbiegu wspomnianych ulic, a naprzeciw dzisiejszego nowego kościoła, które nazywano „napoleonówką".

Mieczysław Fiolek.



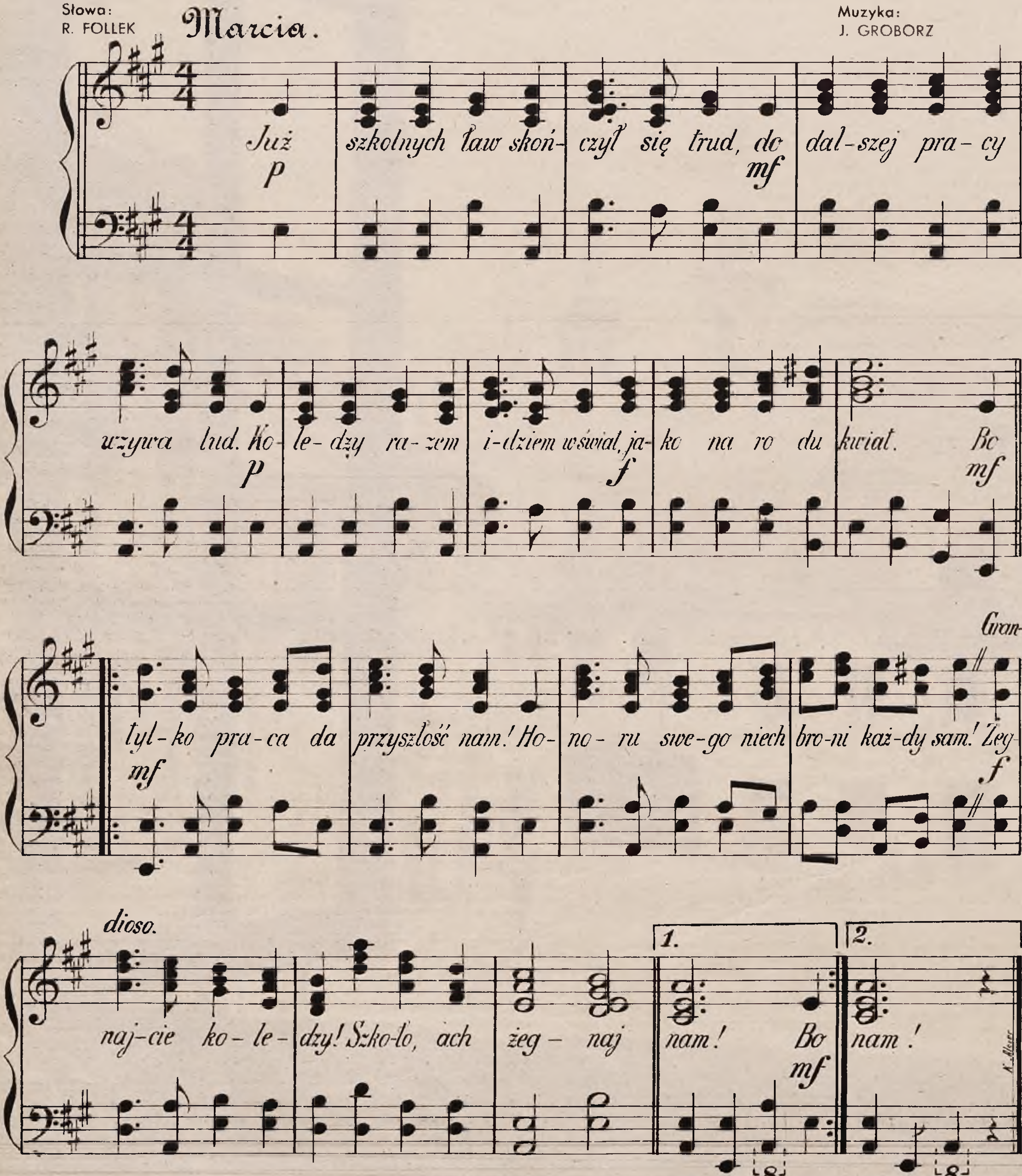
SŁOŃCE NAD STAREM MIASTEM. Ulica Szeroki Dunaj w Warszawie. — Fot. Feliks Nowicki, Kraków.

POŻEGNANIE SZKOŁY

PIEŚŃ

Słowa:
R. FOLLEK

Muzyka:
J. GROBORZ



EPIZOD

NOWELA

HANNA KŁOSIŃSKA

Juljusz wstał wcześnie. Chciał napisać list do Joanny i wysłać ranną pocztą. Czuł się osłabionym, z trudem trzymał się na nogach. Strasznie mu jakoś w ostatnich czasach „płuc ubywało". Lękał się własnego odbicia w lustrze, cienia na ścianie. Rycerski kawaler, nie gardzący pojedynkiem, uroczy dandys, znający, jak nikt ze współczesnych Owidjuszową sztukę kochania, czarujący epuzer i zawołany tancerz z salonów paryskich, poeta narodowy, który często miał w duchu „takie szerokie, a męskie uczucia, jakgdyby szedł na słońce", należeli do przeszłości. Teraz był już samą nędzą ludzką. Pluł krwią, a „zimne flegmy" spać mu po nocach nie dały. Postanowił pozbyć się „drożdży światowych" — jak mawiał — oczyścić „harfeczkę kościaną", która zwała się jego ciałem, bo myślał, że „ducha, który się sam nie wypierze, nie wypiorą żadne anioły". Od pewnego czasu urządzał też generalne pranie swojej duszy, serca, uczuć. Jakoś to szło, zwłaszcza, tu, w Pornic w obliczu szerokiego nieba i morza. Żył tu spokojniej, bez śmiertelnego lęku i potów Dni wezbrane błękitem, syte i napełnione po brzegi zapachem kwiatów — dłużyły się w nieskończoność, patrząc w oczy poety z modrym uśmiechem. Skały obsypane złotą i srebrną miką, lśniły w jaskrawym słońcu, jak klejnoty. Woń kwitnących hojnie tamarynów i róż stała się do nóg, jak słodka ciepła od snu obietnica. Pojęcie śmierci dziwnie się kojarzyło z wonią kwiatów.

— Chciałbym tu umrzeć — marzył Słowacki — tu nie czułbym śmierci. Poprostu życie uleciałoby z jednem westchnieniem, z jednym oddechem, rozpłynęłoby się w zapachu i słońcu. Tu — nie odczuwam życia. Już mnie niema. Przepadam, jak kropla w morzu i niebie. Tu — jest nieskończoność, tu — jest wieczność, a ja jestem w niej zupełnie pogrążony. I serce mam pełne niebieskiej sytości i niebieskich marzeń.

Przypomniał sobie słowa Feliksa Węgierskiego, skazanego na śmierć, tak, jak i on.

— Tu w Pornic — łatwo się umiera.

Feliksowi — pewnie. Feliks jest szczęśliwy. Umiera w sile... miłości. Tak, gdyby on miał przy sobie taką kobietę, jak żona Feliksa, gdyby tak jego ktoś miły za ręce trzymał, oczami trzymał, sercem trzymał, oddechem własnym karmił — jak Feliksa — Zofja. Cóż? Dla Węgierskiego życie i śmierć mają jedną twarz, twarz Zofji. W jej modro-zielonych, morskich oczach, otwiera się wieczność. Śmierć wyda się niczem i minie, jak rzecz codzienna, w jednym pocałunku tych ust, których rubin „światło leje".

„Jest niewinna, jak kwiat, a umiejąca nagle z siebie wydobyć ognie niespodziewane, poezję, przy której ogłuchłyby wszystkie harfy świata".

Zofja!

Wydaje się prawie dziewczynką i ma urocze dziecinne dąsy i kaprysy. Taka powiewna, delikatna, czysta, a taka przytem kobieca, zawsze świadoma swych czarów. Oczy jej znają ciężar bajecznych rzęs i wymowę powłóczystych spojrzeń, głowa ugina się pod węzłem bujnych warkoczy, o niezrównanym kolorze płynnego metalu. Te jej warkocze — to są pewnie węże w złotych na głowie koronach, o których w Pornic krążą legendy.

Chciał pisać list do Joanny, do pani Bobrowej, zamieszkałej w Paryżu przy Polach Elizejskich. Kochał Joannę wytrwale i bez nadziei przez dziesięć lat, męską, gorzką, smutną miłością. Ostatnią — jak myślał — miłością. A teraz ciągle — w przededniu śmierci — pełne ma - serce i oczy — Zofji. Małej, uroczej Zofji. Ciągle słyszy skrzyp żwiru, pod jej japońskiemi, lilipuciemi stopkami, szum jej białej sukienki w różowy rzucik, czuje zapach jej włosów silniejszy od woni tamaryszku, w oczach, w mózgu, we krwi, ma jej słodką, rozpustną twarz helleńskiej boginki, podobną do twarzy marmurowej Wenus z pałacu Ufizzi we Florencji, w której kochał się kiedyś z młodzieńczym entuzjazmem.

Mimo smutku po stracie Zygmunta, Joanna z lekkiem sercem przyjęła miłość pana Słowackiego. Przywykła do tego, że zakochany Juljusz siedział u jej stóp, jak pokorny paź i czytywał jej wiersze, sławiące jej oczy, usta, wdzięk, wiersze, naznaczone jej imieniem, jak piętnem. Czasami to panią nudziło, czasami przykrzyło się romantyczne życie bez pieszczot i pocałunków, ta przygoda niepojęta, ekscentrycznej damy z melancholijnym pierrotem. Czułe tête à tête dłużyło się, jak dramat w pięciu aktach, jednak... przyzwyczaiła się. Przyzwyczajenie zaś jest dla kobiety — drugiem sercem, jakby kopją miłości. To też Juljusz wiedział, że był Joannie niezbędny do życia, że nie miała nikogo prócz niego. Nie mógł jej więc teraz porzucać. Teraz. To przecież Joanna wysłała go do Pornic. Bała się, że Juljusz umrze wcześniej, niż przypuszcza. Prócz Joanny i matki nikogo to nie obchodziło, jak długo jeszcze „pociągnie". Joanna sama pakowała jego walizy. Odprowadziła go do dylinżansu. Dawała mu przestrogi, jak matka synkowi, wyjeżdżającemu na wakacje.

Słyszy dotąd słowa, jakie jej powiedział przy pożegnaniu:

— Sami jesteśmy własnymi aniołami, ciągle sami, za wszystko odpowiedzialni, zawsze cierpiący, ja dosyć spokojnie, Pani, rzucająca się, jak płotka w kryształowej rzeczce litewskiej".

Dotąd widzi jej wzniesione ku niemu, szeroko rozwarte, fiołkowe oczy. Wtedy właśnie uderzył go niezwykły, kwiatowy kolor tych oczu i ich łagodny, owalny rysunek. Tyle lat ją kochał, a dopiero w chwili agonji miłosnej, gdy ją już kochać przestał — zauważył niezrównany kolor jej oczu, jakich nie miała żadna inna kobieta. Ogólnie znajomi zgadzali się, że Joanna ma błękitne, turkusowe oczy, bardzo, bardzo piękne. To mało — piękne — jedyne! Oczy, jak wiosna, oczy, jak kwiat. Żywe, rosnące w mroku, zakwitające w słońcu oczy. I wtedy, patrząc w te oczy, Juljusz zrozumiał, dlaczego zakochany w Joannie Krasiński, mówił, że nigdy nic podobniejszego do przechodzącej Ojczyzny nie widział. Joanna kształtna, jak posąg, o idealnie zarysowanej głowie w oprawie ciężkich rudawych loków, z oczami, jak kwiaty, ze swoją słodką melancholją i ekscentryczną żałobą, która jeszcze podkreślała urodę najpiękniejszej pani, była ucieleśnieniem miłości, tęsknoty i swoistego czaru. Jej zalotność miała czysty wdzięk kokieterji, stosowanej nieświadomie przez matki, wobec synów. To sprawiało, że Joanna była bliższą od innych kobiet, a choć się ją kochać przestało, zapomnieć nie można było.

Tak. Joanna. To wyjątkowo uprzywilejowana kobieta. Można ją przestać kochać, nie można — zapomnieć. Można się z nią rozstać — nie można jej porzucić. Największa miłość, najmilsza kobieta, nie zasłonią jej wspomnienia. Joanna jest jak Ojczyzna. Odchodzi się od niej lekkomyślnie, tęskni do niej zawsze.

Pod urokiem Zofji — Juljusz czuje się, jak na wygnaniu. Brak mu Joanny. Mimowoli list pisany do niej zamienia się w list miłosny. Człowiek prawie umierający, kreśli wyraźne i pełne treści litery. Pismo jest raczej frywolne, w stylu baroku, nabrzmiałe atramentem, jak łzami.

„Błagam Panią, byś nie rwała tej jakiejś małej, cudownej niteczki, która nas łączy. Ile razy pociągniesz Pani za tę nitkę, to odezwę się, jak dzwonek nawet z poza świata i po wiekach".

Słowa są wymowne i patetyczne, ale fantazja o ironicznych skłonnościach, która cechowała go zawsze, nawet w najtragiczniejszych chwilach, nasuwa mu obraz Joanny, leżącej w łóżku, w białych tiulach, buffach i fiokach, jak leniwie unosząc się na lewym łokciu, prawą ręką pociągnie za taśmę od dzwonka, wzywając lokaja.

Z tym dzwonkiem to nieszczególny pomysł, ale niechże już zostanie. Joannie spodoba się napewno i szybko go w praktyce zastosuje. Zresztą — prześle się jej upominek. Doprawdy uroczy. Lustro oprawne w ramki z jaszczurek. Kupił je za dużą cenę, kosztem wielu wyrzeczeń.

„Przejrzałem się w tem zwierciadle i lękam się, aby w niem cień mojej twarzy nie został i nie pokazywał się w nocy upiornie, zwłaszcza, że przyszła właścicielka tego lustra wierzy w pokazanie się widm zalustrzanych. Przeszedłem przed tem lustrem, jak może przed Pani pamięcią, nie zostawiwszy na tem szkle żadnego rysu, ale oczy moje w niem były".

Przerwał pisanie. Nadsłuchiwał lekkich kroków, które biegły przez ogród ku domowi. Zanim weszła, poznał ją po odurzającym zapachu jej sukien, ciała i włosów. Ten zapach był, jak herold obwieszczający przyjście księżniczki.

Każde jej przyjście odczuwał, jak odwiedziny siostry, a nigdy — ukochanej. Drażnił go nawet jej śmiech dziecinny i niefrasobliwy, jej zalotność, zabarwiona kroplą zmysłowego romantyzmu" jej swoboda i pełna kokieterji rozmowa. Zofja miała tragiczne życie, ale przepłynęło ono nad nią, jak chmura nad stawem. Rozwód z pierwszym mężem, strata dziecka, tułaczka i bieda u boku Węgierskiego, którego kochała głębokiem i wielkiem uczuciem, a który dogorywał w jej oczach na suchoty — mogły złamać niejedną kobietę, ale nie Zofję, która miała roślinną, pnącą się naturę i pięła

się po życiu, jak bluszcz po murze. Zachowała dzieciństwo serca, pustotę, dowcip, swobodę żartu i giętkość myśli.

W lustrze przeznaczonem dla Joanny, jak w wodzie, odbiła się wyraźnie urocza, okrągła, dziecinna buzia, w oprawie złocistych loków i pukli.

— Zmieniła uczesanie! — Słowacki odczuł tę prostą rzecz, fantazję kobiecą, jak natchnienie. Ostatnie lata żył w ekstazie mistycznej i w wielkiej pokorze, oddany chorobliwym marzeniom i naśladowaniu Chrystusa. Jak srebrne róże kwitły w mroku nieprzespanych nocy mistyczne uniesienia. Coraz częściej czuł na wargach gorzki smak śmierci, smutek tłoczył mu oczy, jak grudki ziemi. I teraz — nagle — przyprawia go o bicie serca — fryzura, złote kobiece włosy, barwy miodu.

Drży w lustrze różowa twarzyczka. Jak kwiat jabłoni na wietrze — myśli poeta i szybko dochodzi do stwierdzenia: — pojawiła się w mojem życiu, jak w tym lustrze, jako odbicie moich wszystkich miłości. I choć tak bliska oczom i sercu, przecie dla rąk nieosiągalna. Widmo zalustrzane.

— To pani — mówi szeptem, a myśli: — To miłość.

— Tak, to ja. Przyszłam pana prosić, by pan dzisiejszy wieczór spędził z Feliksem. Nie chciałabym, by został sam. Czuje się gorzej. No i ta zabijająca czarna melancholja. Przyjdzie Pan, prawda, mój miły panie? Ja jestem proszona na tańce.

Oczy jej otwarły się szeroko, jakby kto rozdarł niebieską firankę, ukazując nieograniczone możliwości. Usta jej płonęły w bladej buzi, jak dwie zastygłe krople krwi. Nie ulegało wątpliwości: cieszyła się, jak dziecko przyrzeczoną zabawą.

— Naprawdę pójdzie pani tańczyć?

Zawahała się chwileczkę. Pokręciła się niespokojnie, jak ptak na gałęzi i zaniosła się perlistym śmiechem.

— Oczywiście. Jestem taka zmęczona. To mi się należy. Widzi pan — jestem spragniona życia, muzyki, śmiechu. I nie lubię samotności. A życie z Feliksem to samotność we dwoje. Wiem, co mi pan chce powiedzieć, że miłość jest właśnie podwójną samotnością. Ale ja chcę odpocząć po miłości. Zadużo kochałam. Należy mi się chyba jakiś wolny wieczór, mój, tylko dla mnie.

— Niech-no pan popatrzy. Przyniosłam panu nowy numer „Pszonki". Przysłano mi go z Paryża. Uwzięli się na pana. O proszę, niech pan czyta, jakiemi słowy kazali się panu bronić, za popełnienie „Anhellego".

Wodziła po zadrukowanym papierze różowym paluszkiem, a on śledząc rozweselonemi oczyma ten rozkoszny kompas, czytał pochylony przez jej ramię, słowa, które psotniś redakcyjny włożył w jego usta.

Na bladej twarzy poety odbiła się przykrość, jawny niesmak wykrzywił cienkie, wykwintne wargi, suchotnicze rumieńce wybiły się na policzki, nadając tej twarzy piętno niezwykłej, groźnej urody.

— Głupcy, głupcy — powiedział z wysiłkiem — idąc obok tajemnicy z zawiązanemi oczyma. Prócz wieprzowiny z kapustą — niczego nie widzą w życiu. A ja zdobyłem najwyższy stopień uświadomienia, duchowego wykształcenia, nauczyłem się śmierci, jak inni uczą się arytmetyki. Ja wiem, kim byłem. „Dawne w oczach stanęły mi życia, jasne, jak słońce i przypomniałem sobie, jak w trzecim wieku po Chrystusie byłem kaznodzieją na Libanie, potem później, daleko później byłem Polikarpem greckim i wiodłem w górach życie rozbójnicze".

— Dobrze, już dobrze — tamowała pani Węgierska upływ słów, jak krew — dobrze już.

Uklękła przy nim, obejmując go ramionami za szyję. Pożałowała go z głębi serca, dziwiąc się własnemu okrucieństwu. Jakże mogła przypuszczać, że obłąkany, chory mózg, wyczerpany genjalnością, potrafi z humorem ocenić kapitalny żart trzeźwych ludzi?

— Pani Zosiu, proszę darować. Kończę się. Skrzypię w zawiasach, jak zardzewiałe drzwi. Trochę było mi przykro. Przeszło. Trudno wymagać, by oni zrozumieli „Anhellego". Ale pani zrozumie. Proszę posłuchać tych słów. To dla pani.

Patrząc jej w oczy mówił cicho:

— A miłowałem ją w czystości serca mego: dlatego łzy mnie zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej miłości. Bo oto byłem przy niej, jak ptak swojski, co się boi i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć była blisko: jak gołąb mówię siedzący na ramieniu dziewczyny".

Słuchała z uwagą, przymknąwszy oczy. Twarz jej zarumieniła się pod wpływem wzruszenia. Odchyliła w tył głowę. I wtedy po raz pierwszy zauważył pragnący wyraz jej ust. Ach, gdyby mógł zamienić swoje wiersze w szklankę wina i przytknąć do tych ust kobiecych, by piły, aż do zaspokojenia.

Siedzieli chwilę w milczeniu, zasłuchani w słowa, których już nikt nie mówił. Wreszcie ona podniosła się leniwym ruchem kobiety rozmarzonej.

— Panie Juljuszu — głos jej wibrował, jak trącona struna skrzypiec — w pańskim pensjonacie, na piętrze, mieszka pewna Włoszka. Ma śliczną suknię w kolorze pomarańczy z kremową koronką. Proszę o protekcję. Wiadomo, że „doncella" lubi pana. Chciałabym wypożyczyć tę suknię na dzisiejszy wieczór. Nie mam co ubrać.

Wymowny ruch rąk podkreślił tragizm sytuacji.

Ach, więc o tym myślała, gdy jej czytał poezje. Nie mógł się jednak gniewać. Niespodzianie w mistyku i ascecie odezwał się chłopak z przed lat, którego w zachwyt wprawiały damskie kapelusze. Zofja z tą swoją złoto-burą urodą, opięta w skórę pomarańczy, z delikatną pianą koronek u ramion. Tak. To wymaga wierszy, tomu wierszy!

— Wstawię się u donny. Ale ze względu na Feliksa, lepiej by było, by pani została w domu.

— Czy ja nie mam prawa do własnego, osobnego życia?

Oczy jej groziły łzami, więc uspokoił ją natychmiast, że właśnie ona, ona j e d n a ma prawo do własnego życia. Długo przekonywał o tem i ją i siebie. Mówił jeszcze, gdy już odchodziła, gdy z głośnym „Au revoir" zamykała za sobą ogrodową furtkę.

Po jej odejściu wrócił do listu do Joanny. Nie miał jej o czem pisać. Źródło słów, które biło dla niej, tylko dla niej przez kilka lat — wyschło. Obok lustra przeznaczonego na upominek dla Pani Bobrowej leżał biały arkusik bristolu, zapisany drobniutkim kobiecym pismem. List nie miał nagłówka. Pismo było Zofji. Widocznie wysunęło się z jej torebki przy rozwijaniu „Pszonki". Pisała do kogoś nieznanego..

„Co dziwna, to, to, że kobieta, która miewa kaprysy, gniewać się na Ciebie nie może, że jej podrażniona próżność nie oddała cię czartu, że cię z motylich nie strząsnęła skrzydeł, że..."

List się urywał, pozostawiając otwartemi wszystkie kwestje na „że"... Do kogo pisała? Do przyjaciela, czy kochanka, do bliskiego, czy dalekiego? Jakiego wroga nie mogła strząsnąć z swych motylich skrzydeł? Jakiego ukochanego oddawała czartu? Może tancerza z dzisiejszego wieczoru?

Stanął mu w myśli Feliks Węgierski, smutny człowiek, pełen subtelnego wdzięku, traktujący swoją młodą żonę. To on wychował Zofję. Nauczył ją myśleć i widzieć piękno. Jemu zawdzięczała błyskotliwy styl i wdzięk myśli, którym w przyszłości miała oczarować czytelników licznych pism.

Niewiadomo czemu pożałował pan Słowacki tego zakochanego i kochanego człowieka, on, którego nikt nie kochał. Przez krótką chwilę pomyślał o Joannie i o jej stałem, okrutnem sercu, które zawsze należało do człowieka, który ją porzucił.

— — — — — — — — —

Wieczorem poszedł do Węgierskich. Zdziwił się, że zastał panią domu.

— Nie poszła pani na tańce? Została? Kaprys minął?

— Feliks kaprysił.

— I pani dla jego kaprysu, ze swoich zrezygnowała?

— Cóż? Mogłabym skrzywdzić każdego innego, ale nie jego. On nie jest k a ż d y m. Tak prosił. Nigdy jego prośbom nie odmawiam.

Kiedy krzątała się przy herbacie — jasna i gorąca w swojej wypożyczonej od „doncelli" sukni, pan Słowacki poddał się z rozkoszą bijącemu od niej ciepłu i z ulgą myślał:

— Zofja, to zwykła zakochana kobieta, a nie żadna poetycka alegorja miłości.

Był jej wdzięczny, że zbliżyła go zpowrotem do życia i do ludzkich spraw. Dzięki niej stały się wiadome na nowo uroki miłości. Dzięki niej ogarnęła go znowu dojmująca, szalona tęsknota za uśmiechem kobiecym, za spojrzeniem i pieszczotą kobiecych oczu.

O zgubiony list Zofja nawet nie spytała. Pewnie zapomniała o nim. Któraż kobieta pamięta wieczorem o porannej miłości? Feliks był ważniejszy od miłości. Feliks — był wszystkiem.

Jakże on to mówił?

— W Pornic łatwo się umiera.

Tak, zapewne, śmierć jest łaskawa, łatwa, dla tych którzy kochają.

— O czem marzysz, Julku? Ileż gwiazd potrzeba ci do szczęścia, iluż światów? — żartował Węgierski, przenosząc jasne oczy z żony na przyjaciela.

— Ja? — uśmiechnął się boleśnie Słowacki — miałem zawsze skromne marzenia, a tylko słowa wysokie i sięgające nieba. „Żądam niewiele, prawie nic: potrzeba mi do szczęścia, czuć tylko, że mnie kłoś kocha mocno i bezinteresownie..."

Zupełnie blisko swojej twarzy ujrzał fiołkowe oczy Joanny, zroszone łzami w chwili pożegnania. Nie kochała go, ale... pozwalała się kochać. Mógł tęsknić za nią — a to już było łaską. Trzeba koniecznie dziś jeszcze skończyć zaczęty rankiem list do Joanny. Żeby, jak najprędzej doszedł jej rąk.

„Błagam Panią, byś nie rwała tej małej, cudownej niteczki, która nas łączy. Ile razy pociągniesz Pani za tę nitkę, to odezwę się jak dzwonek, nawet z poza świata, nawet po wiekach".

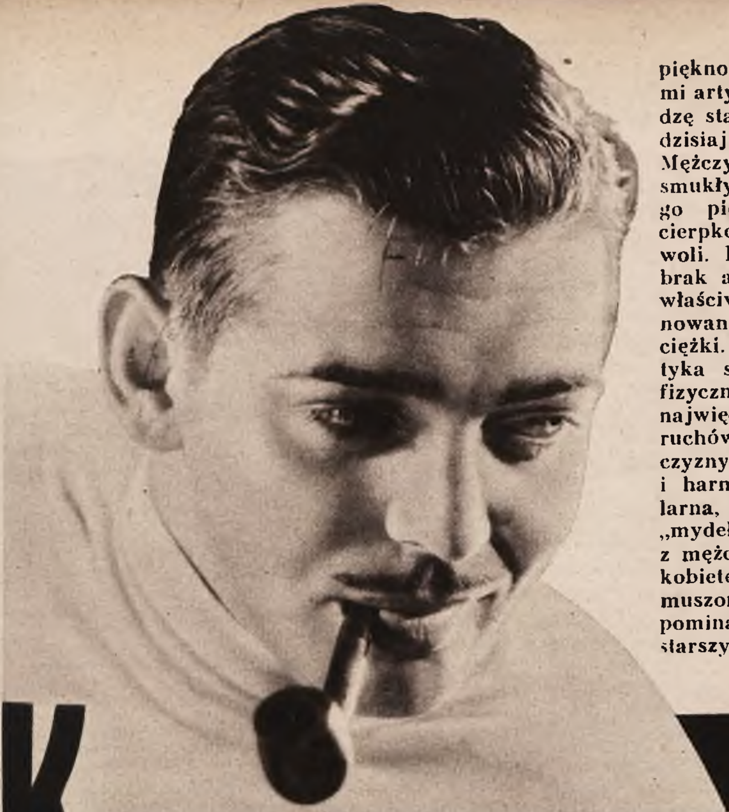
Trywialne porównanie Joanny, z wygodnisią dzwoniącą na lokaja, wydało mu się niegodne tej tęsknoty, jaką za nią odczuwał. Wiedział, że Joanna będzie za nim tęsknić i cierpieć w samotności. A ile razy czytać będzie wiersze pełne j e j i wezbrane jej imieniem, jak potok na wiosnę, tyle razy odezwie się z pożółkłych kart — wieczny dzwonek — serce „Anhellego". W Paryżu przy Joannie, gdy zakwitną bzy w Tuiljerach, lżej będzie umierać. Smutne, wdzięczne oczy Joanny, położą się na jego ustach, jak dwa pachnące fiołki.

— O czem myślisz Julku?

— O powrocie do Paryża.

— Ależ o tej porze w Pornic jest cudownie.

— W Paryżu jest piękniej. Tam — ktoś na mnie c z e k a.



Na lewo: Clark Gable, jeden z najprzystojniejszych artystów filmowych

KOGO PANI WYBIERZE?

Grecy i Rzymianie w swych rzeźbach dali wyraz swemu ideałowi męskiej piękności. Taki skończony ideał piękna męskiej postaci przedstawia „Apollo Belwederski". Od tego czasu pojęcie ideału piękności męskiej ulegało ogromnym zmianom; jak w ciągu wieków ulegały zmianom wszelkie pojęcia i „nastawienie" się ludzi do ideałów.

Co nasza epoka nazywa pięknością męską i jak wyobrażają sobie ideał jej dzisiejsze kobiety?

Trudno byłoby na to odpowiedzieć, wszak nawet piękność kobieca ustalana przez Jury różnych konkursów nie podlega żadnym stałym kanonom.. Aby sobie jednak wyrobić j a k i e ś ogólne bodaj pojęcie o tem, jak się przedstawia ideał piękności męskiej dzisiejszej kobiety — oddajemy głos kilku kobietom, zdecydowanych typów, które wypowiedziały się w odpowiedziach ankiety. Na pytania: — „Jaki mężczyzna ci się najwięcej podoba? Jakim powinien być piękny mężczyzna?" — odpowiedziała





Od lewej: Donżuan ekranu Rudolf Valentino. — Typem energicznego, stuprocentowego mężczyzny jest Gary Cooper.

Artystka-rzeźbiarka:

— Piękność mężczyzny — równie jak kobiety — nie polega tylko na rysach twarzy, lecz obejmuje całego człowieka. Jestem może jednostronna i nieco uprzedzona, bo na piękność mężczyzny patrzę oczami artystki, a nie kobiety. Twierdzę stanowczo, że zwracamy się dzisiaj ku klasycznej piękności. Mężczyzna piękny jest wysoki, smukły i wytrenowany, ale jego piękność ma pewien rys cierpkości, twardości, skupionej woli. Dzisiejszemu mężczyźnie brak antycznej gracji i tego — właściwego Rzymianom — opanowania ciała. Stał się on przyciężki. Najczęściej taki typ spotyka się między robotnikami fizycznie pracującymi, którzy najwięcej wykonują zdrowych ruchów. Twarz pięknego mężczyzny powinna wyrażać moc i harmonję, może być nieregularna, ale daleka od słodkawej, „mydełkowatej" piękności, która z mężczyzny czyni — przebraną kobietę. Jego swobodny, niewymuszony chód nie może przypominać tak lubianego przez starszych panów, sztywnego chodu. Piękność mężczyzny nie zależy także od stroju, jednakże musi go on umieć nosić...

Kobieta z typu stenotypistek mówi:

— Och! przecież wielu jest pięknych mężczyzn! Mnie osobiście np. byłoby trudno wybrać sobie ulubieńca między artystami filmowymi. Wszyscy są tak wytworni, piękni, bez zarzutu, wypielęgnowani, że ciężko rozstrzygnąć. Czyż nie prawda, że jeszcze nigdy nie było tylu pięknych mężczyzn, jak w naszych czasach? Moja matka, która ongiś była bardzo piękna — to samo twierdzi. Sądzę, że u pięknego mężczyzny bardzo ważną rzeczą jest ubranie... Powinien mieć sympatyczne ręce, nie być zbyt młodym. Najlepiej podobają mi się lekko przyprószone skronie i melancholijny, à la Menjou uśmiech; ani zbyt kobiecy, ani zbyt męski. Piękne zęby, miły głos, to bardzo ważne rzeczy u pięknego mężczyzny.

Sportsmenka:

— Mężczyzna musi być zdrowy — wtedy jest piękny. I młody! Skoro raz zacznie się proces starzenia — zdrowie, a więc i piękność jest już tylko śmieszną maską. Ja twierdzę, że właściwie prawdziwie pięknych mężczyzn niema. Są albo straszliwie próżni, albo kloce"... Ostatni typ rekrutuje się zwłaszcza z moich towarzyszy sportu; ale, gdyby trzeba wyszukać pięknego mężczyznę, to chyba między nimi. Ten rodzaj pięknych mężczyzn spotyka się sto razy na dzień na ulicy. Przez używanie sportów, (za wiele specjalizacji szkodzi) osiąga się swobodę, śmiałość i piękno ruchów, co wynagradza nieforemność nosa, twardość dotknięcia rąk i złą cerę, zniszczoną wpływami niepogody i wiatru. Jestem zdania, że szczegóły nie grają roli przy ocenie męskiej piękności, lecz ogólny obraz człowieka — całość.

Studentka:

— Nie patrzę na to, czy mężczyzna ma piękne ciało, szukam w nim raczej uduchowionej piękności, która mieszka w jego oczach, pod mądrem czołem. Czyż mężczyzna, który poważnie bada misterjum życia, ma wyższe cele, bierze życie głęboko, a nie ma nic wspólnego z płytką, powierzchowną

Dokończenie na str. 31.

SŁODYCZE ŻYCIA



„Poranna poczta" — sztych z XVIII wieku.

„Kto nie żył przed rewolucją francuską, ten nie zna słodyczy istnienia". Tak rzekł pewnego razu książę Talleyrand. Obrazki, które dziś czytelnikom niesiemy, przedstawiają nam życie sfer wybranych, przed rewolucją, z taką gracją i powabem, że je możemy uważać za ilustracje Talleyrandowskiej maksymy. Artyści, twórcy tych obrazków, znali dobrze ten swój świat, na niego patrzyli codziennie. Skoro tylko opuszczą to środowisko i z światkiem swoim do wiosek się zbliżą, wnet ich ogarnie ów chaos Reusseau'a, który tylko w wieśniaku widział szczęśliwca i doskonałą istotę. Oczywiście świat ten dla księcia nie istnieje. Przeglądając całe albumy ilustracyj, z których tylko drobną cząstkę, najefektowniejszą, podajemy, błądzimy po czarownych ogrodach starego świata, senni i rozmarzeni, wzdychający i tęskniący. Wikłamy się w intrygi dworskie i przebiegamy oczyma coraz to nowe fizjonomje dworaków. Zawiązujemy coraz to nowe intrygi miłosne, dorabiamy klucze do tajemniczych buduarków, wyczekujemy całemi godzinami w przebraniu w niewygodnych skrytkach, czekając na chwile, w których pan miłościwy musi w sprawach swego urzędu opuścić swój zamek, by swej pani zostawić swobodę w aranżowaniu słodkich grzeszków. Układamy słodkie wycieczki po kasztelańskich solitudach, przebrani za pasterzy i pasterki, błądzimy po zaklętych parkach; posyłamy pachnące liściki, ukryte pod filiżanką czekolady paniom naszego serca, komentujemy zaczytanym wytwornisiom zawilsze ustępy Brantôme'a łapiemy przyjaciół i przyjaciółki na gorącym uczynku, pomagamy przy rannej toalecie, ćwiczymy się w grze na lutni i robimy zwierzenia, z których każde słowo jest kłamstwem. Przyciskamy prawą rękę do serca, które kołace gorącem wyznaniem, a lewą ręką odbieramy czuły liścik. Demaskujemy się sposobną chwilą, by tem spokojniej zmienić innym razem domino wśród balu; składamy wizytę damie naszego serca, a gdy ona na chwilę zwróci się do okna, rzucamy gorące spojrzenia pięknej subretce. Podziwiamy subtelność brabanckich koronek a w rzeczywistości mamy djabła za upudrowaną skórką. Wyznajemy najgorętsze uczucia pięknej Chlorydzie, a równocześnie staramy się odwieść jej uwagę od końca trenu za przymykającemi się drzwiami naszej drugiej przyjaciółki. Oto wizyta nieoczekiwana! Piękny adonis czeka w parku na wykwintne spotkanie, lecz równocześnie nie może się powstrzymać od szeptania słodkich madrygałów uroczej kwieciarce. A wszędzie peruczki, wszędzie pełno koronek, najdelikatniejsze fulary, kokardki, falbanki, klamerki, sprzączki, fałszywe wzdychania, intryżki przy księżycu... Jadowite ploteczki, pokryte rozbrajającym uśmieszkiem, wszystko wśród kamiennych ławeczek, posągów, biustów, kolumnad i arkad, pośród czułych słówek i wyznań. Wszędzie



„Radosna nowina".



„Poranna przejażdżka w lasku Bulońskim".



„Pożegnanie".

pełno kwiatów i tomików poezyj, omdlewających spojrzeń. A oto okrzyk szczęścia: niech żyje syn! Któraż z nas nie zna rozkoszy macierzyństwa, najczulszych piosnek nad kołebką. A potem? znów jakieś nowe tajemnicze tchnienia, przeczucia nowych tęsknot, spotkania w lasku bulońskim i tyle wzruszeń i niepokojów!... I nikomu z tych pięknych, tęczowych motyli, goniących własne szczęście po parkach strzyżonych i różnobarwnych ogrodach nawet nie przyjdzie na myśl, że jest świat inny, bo przecież za progiem naszego buduaru i naszego château niema już naszej kultury, naszych wytwornych manjer, odczucia słodkiej poezji i wyrafinowanych dyskursów o filozofji. Tylko w hotelu Rambouillet i tylko w gronie wytworniś można znaleść prawdziwe szczęście! A one, ustroiwszy swą piękność w czary i dziwy współczesnego sobie stylu, wśród toalet wymyślonych przez najwykwitniejszych mistrzów mody, błądzą wśród nieskończonych ścieżek miłosnych, jak różnobarwne ważki ponad piankami rozkołysanych fal jeziora, rozkochane w pięknie swych kunsztownych ogrodów, swej wytwornej toalety i swych skomplikowanych nastrojów, oddając wszystek swój talent i siły tylko kulturze swych przeczulonych dusz cieplarnianych, nie słysząc pomruku grzmotów podziemnych, które zwiastują ich słodyczom istnienia rychłą zagładę.

Dojdzie wkrótce do tego, że ufryzowane głowy pięknych kobiet zawisną, jak złowrogie symbole, na pikach rozszalałego ludu paryskiego. Ogrody zniszczone ręką rozfanatyzowanych barbarzyńców przemienią się niemal w pustynie, a w pięknych salonach sterczeć będą roztrzaskane meble, podziurawione obrazy i stłuczone posągi marmurowe. Wiek XVIII ze swemi wstążeczkami i różami będzie chylił się ku upadkowi, by zrobić miejsce nowej epoce, którą zainaugurują armaty Napoleona Bonapartego. I tylko w starej dzielnicy Paryża, w faubourg St. Germain w dalszym ciągu za wysokimi murami marzyć będą stare pałace, rozpamiętując dawną świetność... K. L.

Z Wystawy w Krakowskim Pałacu Sztuki

Wystawy Towarzystwa Przyjaciół Sztuki w Krakowie są niezmiernie ciekawym przeglądem twórczości artystycznej całej Polski. Obecna wystawa jest tego znakomitym dowodem. Występuje na niej jeden z najbardziej utalentowanych młodych malarzy lwowskich, Marcin Kitz, którego liczne pejzaże świadczą o wysokiej dojrzałości artystycznej. Marcin Kitz, tradycjonalista, lubuje się w złotawej gamie kolorystycznej, w której prze-



MAJA BEREZOWSKA: Rysunek.



MAJA BEREZOWSKA: Kompozycja.



Na prawo: MAJA BEREZOWSKA: Ruda.



ROMAN ORSZULSKI: Owoce w koszyku.

twarza wrażenia rzeczywistości na elementy swej szlachetnej malarskiej faktury, określającej w jasny sposób zdobycie własnej, artystycznej indywidualności.

Jan Hrynkowski wyszedł z obozu krakowskich formistów i dzięki swemu wrodzonemu talentowi utrzymał po dziś dzień przodujące stanowisko wśród naszej moderny. Hrynkowski nie poprzestaje na użyciu starych recept paryskich, lecz z największą sumiennością poszukuje własnych kolorystycznych koncepcyj. Hrynkowski, to subtelny smakosz barwy, to mądry i pełen temperamentu twórca szeregu kompozycyj, zalecających się rafinowanym smakiem. Na tejże wystawie znajdują się ciekawe prace towarzysza spod znaku Romana Orszulskiego.

Twórczość Marji Berezowskiej przepojona jest nawskróś paryską atmosferą, która stała się jedyną, a rafinowaną pożywką w rozwoju talentu artystki, której talent padł na właściwą glebę. Rysunek Berezowskiej ślizga się wirtuozyjnie nad przepaściami artyzmu i sex appeal'u. W najtrudniejszej sytuacji ratuje artystkę wykwintny smak i wysoka kultura. W przedziwny sposób łączy Berezowska rafinowaną pikanterję z prostotą i szlachetnością w przedstawieniu niewinnych spojrzeń dziecięcych główek.

Twórczość Berezowskiej, to jeden dowód właściwości naszej rasy, zdolnej do wchłaniania w siebie obcych pierwiastków. Berezowska „est plus parisienne que les parisiens eux mêmes“. MDD.



MARCIN KITZ: Rotterdam.



Na prawo: JAN HRYNKOWSKI: Pejsaż znad Wisły.



JAN HRYNKOWSKI: Portret ceramiczki H. Kerner.



FIVE-O'CLOCK



Flirt przy herbatce popołudniowej...



Na prawo: pogawędka towarzyska.

Mało już pozostało w współczesnem życiu tych wysepek konwersacji, dowcipnej wymiany zdań, dysputy zabarwionej nieraz naukowo, a przedewszystkiem flirtu... Flirtu pełnego niedomówień, o pewnej dozie naiwności, a równocześnie wyrafinowania. Wszystko w dzisiejszym świecie przeszło silną radykalizację, wszędzie i nad wszystkiem położono dobitnie kropkę nad i, i nie ma już miejsca dla pastelowych uczuć i niedokończonych zdań.

Życie stało się krótką treściwą epistołą telegraficzną, a każde jej słowo ma swoją wagę. Dlatego też ludzie współcześni boją się słów pozostawiających pole do snucia przypuszczeń.

Ginącą wyspą dawnego życia, to five o'clock. Uderzają w nią coraz to silniej fale codzienności grożąc jej zupełnem zniszczeniem. Ale jeszcze tu i ówdzie zastaniemy dobrane towarzystwo przy szklance herbaty i petit-fours'ach, a przedewszystkiem przy ciekawej rozmowie. Im bardziej zróżniczkowane towarzystwo, tem ciekawsze. Polityk dysputuje z muzykiem, literat z finansistą, młody człowiek, którego głównem zadaniem jest robić... dobre wrażenie i dobre dowcipy omawia z poważnym gentlemenem wyniki ostatnich zawodów sportowych, lub też broni pewnego systemu brydżowego.

A wszystkich pociąga czar pani domu, wszyscy nieomal, cicho lub nieco głośniej, podkochują się w tej bogini salonu.

I gdy po kilku godzinach pogawędki goście opuszczają gościnne progi wytwornego apartamentu, gdy każdy z nich snuje w dalszym ciągu refleksje na tle poruszonych tematów, piękna pani, która jest pierwszorzędnym strategikiem salonu i wie jak postępować, aby dopiąć swego celu, zatrzymuje jeszcze na chwilę młodego człowieka. Jakimże on jest? Czy podobny do namiętnego i czułego kawalera des Grieux, czy też do jednego z bohaterów Byrona czy Alfreda de Musset? Nie, bynajmniej! Zwykle jest przeciętnym przystojnym, energicznym i w życiowych sprawach praktycznym człowiekiem, który dzięki tajemniczemu „magnetyzmowi serca" zasłużył na sympatię pięknej pani. Nie jest ani blady ani romantyczny, a mimo to serduszko jej bije tylko dla niego. Trudno! Trzeba się dostosować do swojego czasu...

Ale ona też nie przypomina ani George Sand, ani też pani de Sévigné. Ona również jest dzieckiem swego wieku, grywa w tenisa, jeździ konno, brała udział w zawodach kajakowych, czy golfowych i kieruje świetnie autem.

A mimo to...

Miłość w jakimkolwiek występuje wieku zawsze przybiera podobne oblicze. Nawet do nowoczesnego salonu czy buduaru, do którego dolatują z ulicy odgłosy trąbki automobilowej, o szarej godzinie five o'clock'u wciska się choćby odrobina romantyzmu, potrzebna do stworzenia odpowiedniego nastroju.

I zakochani opowiadają sobie to, co wszyscy ich poprzednicy mówili w podobnych okolicznościach... jgm.



od stóp—do głów...

Nowoczesną w całem słowa znaczeniu jest moda, która stosuje do nas zasadę... od stóp — do głów! To jest cechą gustu naszej epoki, gustu i tęsknoty do doskonałości, która przejawia się w pracy wszystkich, od modystki — do szewca, dążących do najidealniejszego zharmonizowania szczegółów tualety. Kapelusz tworzy się do sukii, buciki do kapelusza, torebkę do bucików i tak powstaje wokół wyznawczyń mody magiczne koło ich uroku.

Wiosenne i letnie modele przedstawiają typy nawet w dziale sukienek i kompletów popołudniowych, bardzo efektowne i nawet strojne. Dawno niewidziane wyszywania szutaszem, hafty barwne i błyszczące, wchodzą w repertuar sukienek, w których udaje się piękna pani na proszoną herbatkę czy cocktail. Co dziwniejsze, już od 5-tej popołudniu dopuszczalna jest tualeta z lamy, krótka, w dość prostym kroju, której wcale nie widać na ulicy zpod lekkiego płaszczyka, kroju redingote modnego nadal i coraz bardziej się rozpowszechniającego

Hasło hołdowania czerni, tak właściwe Paryżowi, ustępuje miejsca kolorom, choć blondynki starają się mieć zawsze czarną sukienkę w repertuarze, brunetki natomiast protegują wielorakie barwy w żywych nawet odcieniach. Stąd garnitury w dwóch przeciwnych kolorach znajdują dużo zwolenniczek.

Widzimy w tym kierunku dość śmiałe posunięcia. A więc czerwony w spokojnym odcieniu i ciemniejszy zielony. Inne połączenie: bronz ciemny i zielony pistacjowy, lub lila-lawendowy i blado różowy. To ostatnie daje efekty wysoce pociągające.

Przeciwstawianie kolorów może odbywać się na tle spódniczki i kompletującego ją żakiecika czy trzy-ćwierciowego płaszczyka. Może także ograniczyć się do jednej sukienki. Bardzo ładnie prezentuje się w takim wypadku modny podwójny kołnierzyk dość wysoki, którego spód jest wykonany w odcieniu innym niż cała sukienka. Także i manszety mogą wówczas być dostosowane do tej maniery Modne będą również plisy odmiennego koloru, obszywane dołem sukni, ale to moda tylko dla sylwetek osób wyższego wzrostu. Osoby niskie wydawałyby się jeszcze mniejsze. Natomiast wewnętrzne obszycia szwów mogą być też w odmiennym tonie, co daje ładne efekty kolorowych wypustek.

Bez obawy mogą wszystkie panie stosować krój baskinowy bluzek i staników od sukienek, pod warunkiem jednak, że trzeba je z umiarem fałdować, gromadząc wszystkie marszczenia czy klosze z tyłu, aby nie pogrubiać sylwetki z przodu. **Mewa.**

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

SZPARAGI Z SOSEM „MOUSSELINE“. Ugotowane w słonej wodzie z kostką cukru szparagi osącza się z wody, układa na półmisku i polewa następującym sosem: 1/4 l kremowej śmietanki, 4 żółtka, 4 dkg masła, ubija się na parze na gęsty krem, poczem dodaje się łyżkę soku cytrynowego i wody z pod szparagów w odpowiedniej ilości, aby sos nie był za gęsty. Z dodatkiem ryżu lub makaronu potrawa ta stanowić może jedno z dań obiadowych lub na kolację.

MÓŻDŻEK Z SOSEM HACHEE. Dwa móżdżki wkłada się do letniej wody z miekiem na dwie godziny, aby zbielały, następnie zagotowuje się je w słonej wodzie, a gdy zesztywnieją, wyjmuje się je do zimnej wody i obiera z ciemnych żyłek. Następnie układa się je ciasno w rynieczce na plastrze młodej słoniny, zalewa rosołem wygotowanym z jarzyn i korzeni, dodaje soku cytrynowego i gotuje powoli przez pół godziny. Móżdżki wyjęte z rosołu na salaterkę zalewa się gorącym **sosem hachée:** Jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki zalewa się szklaneczką białego wina, dodaje soli i cukru oraz białego pieprzu po troszce. Osobno dusi się na łyżce masła parę drobno posiekanych korniszonów, 1 dkg kaparów i pęczek zielonej pietruszki, wszystko drobno skrajane. Po kilku minutach miesza się zasmażkę z podduszonemi dodatkami, zagotowuje i oblewa móżdżki.

MOSTEK CIELĘCY PO WŁOSKU. 12 dkg makaronu włoskiego (spaghetti) gotuje się przez 10 minut, następnie odcedza i przelewa zimną wodą. Łyżkę masła uciera się z 2—3 żółtkami, dodaje wystudzony makaron, trochę soli, pianę z białek i dwie łyżki tartej bułki. Masą tą napełnia się mostek cielęcy, przekładając kawałkami wędzonki lub parówkami, poczem zaszywa się otwór i piecze mięso w piecyku, przy częstem polewaniu masłem. Miękki już mostek posypuje się tartą bułką, zmieszaną z parmezanem, polewa sosem z pod pieczeni i zapieka jeszcze przez kilka minut. Krajać należy pieczeń po częściowem ostudzeniu, inaczej będzie się pod nożem rozpadać. Pokrajaną stawia się nakrytą na naczyniu z wrzącą wodą, czem się z powrotem ogrzeje. Pieczeń podaje się z zieloną sałatą lub mizerją. Oryginalny przepis włoski mówi o sałacie z oliwek.

SOS SZCZAWIOWY. 20 dkg obranego i wymytego szczawiu sieka się i dusi na 6 dkg masła z troszką wody, poczem podsypuje się łyżką mąki, dodaje szczyptę soli, cukru i pieprzu, poddusza i zalewa ósemką kwaśnej śmietany. Zagotowanym ponownie sosem, który powinien być zawiesisty, polewa się krokietki ziemniaczane lub twarde jaja, albo podaje osobno do młodych ziemniaczków.

SUFLET Z RABARBARU. 50 dkg rabarbaru wymywa się, kraje w cienkie płatki i przelewa na sicie (włosianem!), wrzącą wodą z odrobiną czyszczonej sody (soda bicarbonica). Po osączeniu i przelaniu zimną wodą, gotuje się rabarbar z cukrem, otartym na pomarańczy i łyżeczką masła deserowego, na gęstą marmoladę, do której dodać można parę dkg rodzynków, parzonych migałów i skórek pomarańczowych, drobno skrajanych. Gęstą marmoladę wykłada się na ogniotrwałą miskę, pokrywa ją pianą merengową, ubitą z 3 białek i 6 dkg mączki cukrowej, posypuje grubym cukrem krystalicznym i zapieka w piecyku na rumiano.

DŻEM (JAM) POMARAŃCZOWY. Tuż przed końcem sezonu pomarańczowego podajemy jeszcze jeden przepis — jak nas zapewniano — wypróbowany wielokrotnie. Oto on: 5 dużych pomarańcz obiera się ostrym nożem tak, aby tylko cieniutką skórkę skroić. Skórkę tę kraje się w drobny makaronik, pomarańcze zaś oczyszcza się z białej, gąbczastej powłoki, drobi na małe kawałki, miesza z pokrajaną łupką i zalewa litrem wody w kamiennej lub porcelanowej misce. Po 24 godzinach, gotuje się wszystko razem przez dwie godziny powoli na kraju pieca, poczem dosypuje się 1 kg cukru i gotuje dalsze 20 minut. Wkońcu wciska się sok z 2 cytryn, gotuje jeszcze przez 20 minut, poczem dżem powinien mieć należytą gęstość, którą należy wypróbować przez spuszczenie kropli dżemu na talerzyk. O ile się kropla nie rozpływa, dżem jest gotowy. Gorący składa się do słoja, zawiązuje się zaś po zupełnem ostudzeniu.

GALARETKA POMARAŃCZOWA (gelé). Grube skórki z 6 pomarańcz gotuje się przez 2 godziny, zmieniając kilka razy wodę. Z miękkich skórek ścina się wierzchnią skórkę, kraje ją drobno, wciska sok z 6 pomarańcz i 2 cytryn, odważa wszystko, dosypuje tę samą ilość cukru i odstawia na 24 godzin, poczem się gelé gotuje aż do próby.

KRUCHY PLACEK Z RABARBAREM. Z 15 dkg mąki, 10 dkg masła, 5 dkg cukru i łyżki śmietany zagniata się szybko dość tęgie ciasto, odstawia na godzinę w chłodne miejsce, potem wykłada niem tortownicę. Ciasto piecze się na złoty kolor, ostudza, następnie nakłada marmoladę z rabarbaru, sporządzoną, jak podano wyżej do sufletu, przybiera z wierzchu pianką merengową i zapieka do koloru.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Krajanie lub ucieranie cebuli połączone jest zawsze z ostrym i przykrym jej zapachem, którego unika się stosując obok zreprodukowany przyrząd. Przy krajaniu cebuli kawałki jej wpadają odrazu do szklanej miseczki po drugiej stronie ruchomego nożyka.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 20	Maj — 31 dni
NIEDZIELA **9** Grzegorza bisk.	Zupa wiosenna z jajami.Móżdżek z sosem hachee.Gołąbki na dziko z makaronem. Ciastka francuskie z kremem. <u>Kolacja</u>:Marynowana cielęcina w majonezie.
PONIEDZ. **10** Izydora Or.	Zupa szparagowa.Ragoût z podróbek cielęcych.Pieczeń huzarska z czerwoną kapustą.Suflet z rabarbaru. <u>Kolacja</u>:Jaja w sosie szczawiowym.
WTOREK **11** Adolfa, Beatr.	Zupa ryżowa z cytryną.Omlety z szpinakiem.Mostek cielęcy po włosku z ryżem i sałatą zieloną.Krem czekoladowy z waflami. <u>Kolacja</u>:Szparagi z masłem.
ŚRODA **12** Pankracego m.	Barszczyk botwinowy na śmietanie z jajem.Naleśniki z szynką zapiekane.Wątróbka cielęca po wiedeńsku z sałatą. Kruchy placek z rabarbarem. <u>Kolacja</u>:Ozorki cielęce w szarym sosie.
CZWARTEK **13** Serwacego b.	Rosół z jarzynkami.Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym.Kurczęta w śmietanie z kluseczkami.Kompot z suszu lub truskawek. <u>Kolacja</u>:Omlety aux fines herbes.
PIĄTEK **14** Bonifacego m.	Krupnik na śmietanie.Jaja sadzone na szpinaku.Sandacz z rusztu lub panierowany z fritkami.Kruchy placek z pianką malinową. <u>Kolacja</u>:Sałata surówka,opiekanki z chleba, sardynki.
SOBOTA **15** Zofji z c. † Wig.	Zupa z młodych jarzyn z lanem ciastem. Rizotto z groszkiem.Bite zrazy z grzybami i kaszką krakowską.Krem kawowy z biszkoptami. <u>Kolacja</u>:Ruskie pierogi z śmietaną.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 18.

MÓJ WIEK.

Ja mam 22 lata (mój brat 35, a mój ojciec 61).

WINO.

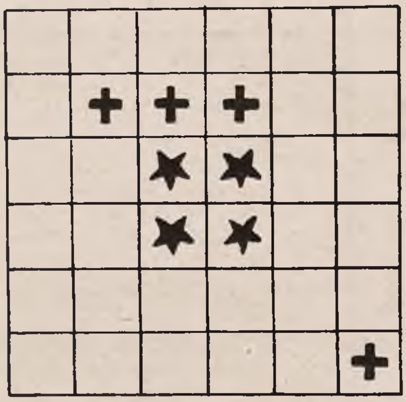
Mieszanina zawiera $^{7}/_{24}$ i $^{17}/_{24}$ wody.

LILJA WODNA.

Po 120 dniach.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

GWIAZDY I KRZYŻ.

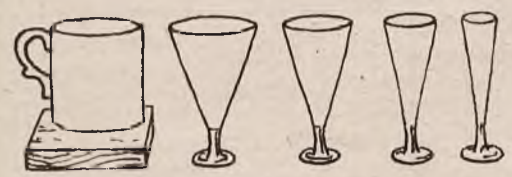


Trzydziestosześciopolowy kwadrat należy rozciąć wzdłuż linij na cztery części tego samego kształtu i wielkości, przyczem każda część winna zawierać gwiazdkę i krzyż.

KIELICHY.

W Rulonji król co tydzień ucztował ze swymi ministrami. Ministrowie pili wino ze stożkowatych kielichów, król zaś z kufla. Średnia górnego przekroju kielichów była równa średnicy królewskiego kufla; głębokości wszystkich naczyń były te same, lecz kufel króla mieścił trzy razy więcej napoju, niż kielichy jego gości.

Jednak ponieważ państwo zostało dotknięte ciężkim kryzysem finansowym, zaczęto nawoływać do narodowej oszczędności. Wówczas król wpadł na doskonały pomysł stopniowania wielkości kielichów ministerjalnych w zależności od stanowiska, zajmowanego przez pijące z nich osoby. Kielich ministra spraw wojskowych pozostał taki sam jak przedtem, ale już średnica górnego przekroju kielicha następnego ministra uległa zmniejszeniu o pewien procent. W odpowiednim stosunku zmieniono również przekroje kielichów dalszych ministrów, tak, że ostatecznie zawartość królewskiego kufla w dużem przybliżeniu równa zawartości kielichów czterech pierwszych ministrów. W jakim stałym stosunku malały kolejno średnice kielichów?



DZIEWIĘĆ CYFR.

32, 547, 891 pomnożone przez 6 (każda z dziewięciu cyfr jest reprezentowana w tem działaniu tylko jeden raz) wynosi 195, 287, 346 (gdzie każda z dziewięciu cyfr występuje również tylko raz). Czy można znaleźć inną liczbę, pomnożoną przez 6, która spełni te same warunki? Przypominamy, że z 9 cyfr, każda może występować tylko raz jeden, zarówno w mnożnej jak i w ilorazie.

Dokończenie ze str. 25.

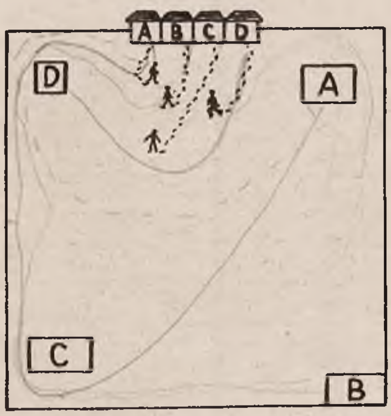
realistyką — może być brzydki, chociaż nie przypomina Adonisa? Nie umie, ani chce uprawiać lekkich flirtów, — robić z siebie amanta, ani nie uważa za potrzebne działanie prymitywnemi jego środkami. „Duch urabia ciało" — a mężczyna o pięknym duchu będzie zawsze piękny.

Piękna kobieta.

— Nie lubię zdecydowanie pięknych mężczyzn. Odwracają oni od nas, kobiet — uwagę, a tego nie życzymy sobie. Zazwyczaj mają oni coś słodkawo nudnego, co szybko się sprzykrzy. — Piękna szata, która przy lada sposobności uchylając się, może odsłonić mniej piękną treść. Mężczyzna, którego nazwałabym pięknym musi być gentlemanem, bez zarzutu, taki, który stanowi godną opiekę kobiety. Przyzwoicie, ale elegancko ubrany, nie powinien rzucać się w oczy, ale również nie być pomijany spojrzeniem przez kobiety. Musi posiadać kulturę, ducha i zręczność ciała, zapewnić mi zawsze opiekę i obronę, jednak nie nadużywać swej męskiej siły, ani przewagi woli. Póki istnieją tacy gentlemani — istnieć będę także piękni mężczyźni.

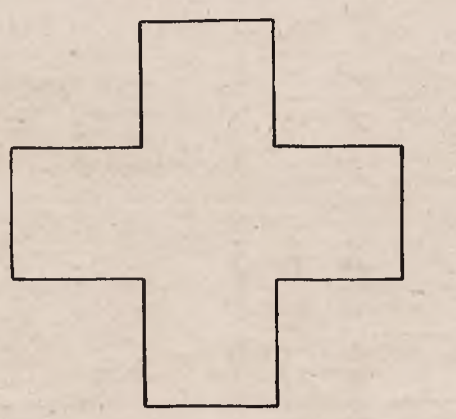
Z. K.

WSPOMNIENIE ZIMY.



Czterech chłopców, mieszkających w sąsiednich domach A, B, C i D chodziło do czterech różnych szkół. Pewnego ranka zbadano ich ślady na śniegu i stwierdzono, że żaden chłopiec nie przeszedł ani razu śladu innego chłopca, ani nie wyszedł poza wskazane na rysunku granice. Proponujemy czytelnikom wziąć ołówki i zrekonstruować ślady czterech chłopców, wiodące od A do A, od B do B i t. d. bez krzyżowania się.

KWADRAT I KRZYŻ.



Należy pociąć krzyż na pięć kawałków, tak, aby jeden z kawałków był mniejszym symetrycznym krzyżem, a pozostałe 4 po przyłożeniu do siebie dały kwadrat.

SPRZYMIERZEŃCY



Rentjer do włamywaczy: Jeżeli odkryjecie skrytkę, gdzie moja żona chowa pieniądze, dostaniecie dobry napiwek. „Ric et Rac"

POZYTYWISTA



— A gdzież jest moja żona?

— Przecież pan powiedział, abym ratował pańską rację bytu! „Ric et Rac"

PODCZAS WALKI CATCH AS CATCH CAN



Zapaśnik do przeciwnika: Rzuć mnie jeszcze raz na tego dziennikarza! Dokuczył mi w ostatnim swym artykule! „Ric et Rac"

NA SCENIE.

Bardzo żywe i znamienne echa w prasie wywołało wystawienie „Wiśniowego sadu“ Antoniego Czechowa w Teatrze Polskim w Warszawie. Utwór ten należy do „klasycznego“ repertuaru słynnego teatru Stanisławskiego. — Przed wojną utwór Czechowa podbijał wyobraźnię, urzekał widzów niby muzyka Chochoła. Świetna gra zespołu Stanisławskiego umiała stworzyć osobliwy, jedyny w swoim rodzaju nastrój: marzycielskiej bezsiły i bezwładu duchowego. O postaciach „Wiśniowego sadu“ pisze w „Podbipięcie“ p. E. A. Znosko-Boronskij, iż „Są to właśnie prawdziwi do szpiku kości ruscy ludzie. Wzięci wprost z rosyjskiego życia, bo nigdzie indziej niemożliwi“. Kazimierz Wierzyński („Gazeta Polska“) przypomina „Rozbitków“ Blizińskiego, ale w naszej literaturze nie było kultu czy rozkoszowania się ową „istinno“ rosyjską melancholją czy chandrą. Wprawdzie bezpośrednie zetknięcie się z Rosją w dobie rozbiorow zaszczepiło i na naszym gruncie miazmaty wschodu, jednak trzeba przyznać, że wyzbywamy się tych nalotów. — Świadczy o tem m. in. przyjęcie „Wiśniowego sadu“ przez krytykę.

Recenzent „Gazety Polskiej“, Kazimierz Wierzyński, odniósł się wprost wrogo do utworu Czechowa. Jest z pewnością jednostronny w ocenie samego dzieła, które ma swoje odrębne wartości artystyczne, ale ciekawie charakteryzuje ducha utworu: „Z tego sału bije niezdrowe powietrze. Kiedyś zatruwało całą epokę, dziś zieje także trupim zapachem. Wśród kwitnących wiśni leży otwarty grób ze zwłokami żywych ludzi. Kładli się tam pokoleniami, wybijani przez pomór własnej bezwoli...“. Inni krytycy również podkreślają ponury obraz społeczeństwa rosyjskiego, jaki wyłania się z utworu Czechowa. Widząc bierność tych ludzi, można się nie dziwić późniejszemu kataklizmowi, jakiemu uległa Rosja.

Jeśli idzie o wykonanie aktorskie, opinja krytyki wypadła mniej zgodnie. Ogólne zastrzeżenie wzbudziło zbyt wolne tempo gry (reżyserja Ziembińskiego). — Obsadę sztuki stanowili pp. Przybyłko-Potocka, Junosza-Stępowski, Samborski, Borowska, Kurnakowicz, Roland, Żabczyńska, Woszczerowicz, Chodecki, Stępniówna i inni.

W warszawskim Teatrze Małym wystawiono nową sztukę Antoniego Cwojdzińskiego, komedję pt. „Freuda teorja snów“. Utwór ten należy do najbardziej udanych wystąpień autora „Teorji Einsteina“ i „Epoki tempa“. Boy Żeleński wspomniawszy o dawniejszych pracach teatralnych Cwojdzińskiego, oświadcza wręcz: „Ale czy że w psychoanalizie Freuda znalazł wdzięczniejszy temat, czy że tymczasem głębiej wrósł w teatr, dał w swojej nowej sztuce więcej, niż wykład freudyzmu: dał prawdziwą komedję, bardzo inteligentnie i zręcznie wysnutą z materjału. I zarazem dał teorji Freuda to, o czem sędziwy jej twórca nigdy nie marzył: humor i wdzięk“.

Sukces sztuki jest tem większy, iż łatwo było wpaść w monotonję. Występują w niej tylko dwie osoby! Otóż zdaniem Boya Żeleńskiego — „dialog dowcipny, śmiały, czasem ryzykowny, ale utrzymany w granicach dobrego smaku“ — znalazł „mistrzowskie wykonanie w osobach p. Romanówny i p. Maszyńskiego“. **J. J.**

TO WARTO POZNAĆ...

NOWE KSIĄŻKI.

Hiszpanja 1936. Pod tym tytułem ukazał się zbiór reportaży p. Romana Fajansa z obecnej wojny w Hiszpanji. „Na książkę niniejszą złożyły się luźne impresje, chwytane na gorąco, w ogniu bitew i na pobojowiskach, — oświadcza autor w przedmowie. — Rozdziały jej powstawały w najcięższych warunkach, pod natłokiem bezpośrednich wrażeń wojennych, z konieczności — nieco chaotycznych, w atmosferze, zupełnie niesprzyjającej twórczej, systematycznej pracy“. — Niepotrzebnie tłumaczy się autor: rzecz jasna, że reporter musi pracować „pod natłokiem bezpośrednich wrażeń“. To właśnie odróżnia go od beletrysty i nadaje jego pracy charakter żywego, surowego materjału: autentyku!

P. Fajans dostał się do ojczyzny Cyda przez Portugalję. W Salamance odwiedził Miguela de Unamuno. Jak wiadomo, znakomity pisarz został w r. 1936 złożony z urzędu profesora w Salamance przez rząd madrycki. Unamuno uważał, iż toczy się „walka cywilizacji przeciw barbarzyństwu“, a on „będzie zawsze stał po stronie cywilizacji“. Jednakowoż niebawem zaznaczyły się różnice zdań między nim a „Falangą“. Unamuno wystąpił w obronie Basków, nazwanych przez któregoś z generałów narodowych „zdrajcami hiszpańskiej sprawy narodowej“... Odebrano mu rektorat. Stały „opozycjonista“, wcielenie „ducha sprzeciwu“ pozostał na uboczu do końca dni swoich.

Książka p. Fajansa jest zaopatrzona w liczne zdjęcia: odmalowują one zarówno piękności miast hiszpańskich, jak i zniszczenie, jakiemu uległ ten kraj. Autor zwiedził Alcazar, Maquedo, Toledo — nazwy te symbolizują najgorętsze walki narodowców. Pozatem był w Burgos i Sewilli; dotarł tam do słynnego ze swych mów radjowych generała Queipo de Llano; słowem — przejechał teren Hiszpanji, będącej pod władzą rządu w Burgos — wzdłuż i wszerz.

Autor oglądał zdaleka skrwawioną stolicę Hiszpanji. Widział atak lotniczy i bombardowanie miasta. Oto jak opisuje działanie ognia artyleryjskiego pod Madrytem: „Kanonada stała się tak ogłuszająca, że coraz trudniej było wyłowić... poszczególne detonacje...“ Niebawem trójkami poszybowały samoloty w stronę Madrytu: „Było ich razem ponad sto... Ogień spotęgował się wielokrotnie. Ale to była zabawka. Dopiero po paru minutach przemówiły samoloty. Zdawało się w pierwszej chwili, że ziemia wali się dokoła w otchłań... Wstrząśnienia za wstrząśnieniem. Jedna niewyczerpana serja potwornych wybuchów, a w ślad za każdym z nich — wysoki słup czarnego dymu, bijący z miasta ku niebu!“

Jeden z przywódców Hiszpanji narodowej gen. Cabanellas, rozmawiając z autorem wyraził zdziwienie, że widzi dopiero pierwszego dziennikarza-Polaka. Jeśli idzie o przyszłość — oświadczył generał — „nowe państwo będzie oparte na podstawach przykładnej sprawiedliwości, niewzruszalnej dyscypliny socjalnej, chrześcijańskiego ustawodawstwa socjalnego, a w zakresie kierownictwa — na wysokim autorytecie swych wodzów“.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 9 maja.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
10.30 „Najnowsze nagrania sławnych artystów“ (płyty).
12.03 Poranek muzyczny (z Poznania). Transmisja ze studja PR. na Międzynarodowych Targach Poznańskich.
11.30 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego i Chór A. Zaremby.
15.30 Audycja dla wsi.
16.00 Muzyka lekka (płyty).
16.25 Wznowienie słuchowiska p. t. „Żona Lota“.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.00 „Kultura czytania“ — szkic literacki.
19.20 Schubert i Schumann (płyty).
21.00 Wesoła audycja ze Lwowa.
21.30 Utwory Aleksandra Skriabina w wyk. . Smidowicza.
22.00 Muzyka rozrywkowa i taneczna.

Poniedziałek, 10 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
12.30 „Od warsztatu do warsztatu“.
15.15 Pieśni holenderskie (płyty).
16.30 Kwartet Salonowy Rozgłośni Krakowskiej.
17.00 „Warszawa w czasach przedrozbiorowych“ — odczyt.
17.15 „Neoromantycy niemieccy“ — koncert.
18.20 „Chwilka Mickey-Mouse“ (płyty).
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa).
20.15 Recital wiolonczelowy Dezyderjusza Danczowskiego.
21.00 „Mały Eyolf“ — fragment słuchowiskowy z dramatu Ibsena.
21.30 „Trzej popularni dyrygenci jazzowi“ (płyty).
22.00 Koncert wieczorny.

Wtorek, 11 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Gershwin — twórca muzuki jazzowo-symfonicznej“ (płyty).
15.15 Koncert muzyki operowej.
16.30 Pieśni ludowe góralskie i śląskie.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich“ — powieść mówiona.
17.15 Wileńska Orkiestra P. R.
17.50 „Jak pozbyłem się upiora“ — monolog.
18.20 Organy Wurlitzera i ksylofon (płyty).
19.00 „Dyskutujmy“: „Problemy współczesnego wychowania“.
19.20 Recital śpiewaczy Fierenze-Giampelli.
20.05 „Mów do mnie jeszcze“ — audycja z Poznania.
21.00 Muzyka salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.45 W stulecie śmierci Johna Fielda (1752—1837) — zwiastuna Chopina“ — koncert.
22.40 Muzyka salonowa (płyty).

Środa, 12 maja.

6.30 Audycja poranna.
10.00 Transmisja nabożeństwa żałobnego za duszę Pierwszego Marszałka Józefa Piłsudskiego.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert Orkiestry Wojskowej (z Wilna).
15.15 Muzyka z płyt. W przerwie reportaż z angielskich uroczystości koronacyjnych.
17.00 „Pamiętniki żołnierzy“ — odczyt.
17.15 „Z niedawnej przeszłości“ — pieśni.
17.50 „Piękno Lwowa“ 9 pogadanka.
18.20 Muzyka salonowa.
19.00 Karol Libelt: „O miłości Ojczyzny“.
19.20 Muzyka (płyty).
20.00 Reportaż obrazujący życie Marszałka J. Piłsudskiego.
20.45 Chwila ciszy.
20.48 Muzyka polska w hołdzie Marszałkowi Piłsudskiemu. Transmisja z Filharmonji Warszawskiej.
22.20 „Opowieść o Chopinie“ — wieczór XVI.

Czwartek, 13 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych i średnich z Filharmonji Warszawskiej.
12.03 Utwory Watona i Coleridge'a (płyty).
15.15 Orkiestry cygańskie (płyty).
16.35 Zespół Pawła Rynasa.
17.15 Koncert kameralny.
17.50 „Z dziejów polskiego teatru“ — odczyt.
18.20 Muzyka lekka (płyty).
19.00 Premjera słuchowiska pt. „Aniołowie między nami“.
19.45 Muzyka salonowa i taneczna w wyk. Małej Ork. P. R.
20.30 „W słońcu Kubalonki“ — pogadanka.
21.00 XXV audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich“.
22.00 Muzyka taneczna w wyk. Wileńskiej Ork. P. R.

Piątek, 14 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
16.30 Piosenki i tańce regjonalne wileńskie.
17.00 „Warszawa w czasach niewoli“ — odczyt.
17.15 Koncert kameralny w wykonaniu Kwartetu Warszawskiego.
18.20 Foxtroty charakterystyczne (płyty).
19.00 „Meluzyna“ — epizod z powieści „Król Trędowaty“.
-19.45 XI pogadanga z cyklu „O instrumentach orkiestry symf.“
20.00 Józef Verdi: „Traviata“ — opera (z płyt).
22.30 „Made in England“ — skecz Feliksa Zandera.
22.45 Muzyka lekka (płyty).

Sobota, 15 maja.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert południowy w wyk. Ork. P. R.
14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci.
15.15 Melodje ludowe — w wyk. Ork. Adama Hermana.
17.00 Transmisja Nabożeństwa Majowego z Ostrej Bramy.
18.20 Muzyka lekka z udz. Herberta Ernesta Groh (płyty).
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.50 Cztery Madrygały Pierre Luigi Palestriny.
20.50 „Potpourri wiosenne“. Transmisja z Wiednia.
21.35 „Szczęście Gzymsa“ — wesoła audycja.
22.15 Mała Orkiestra Polsk. Radja.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca.

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (dorec eniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.